NR 44 (1917) 4 LISTOPADA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Dekada oczami Prezydenta

TO JA

ANDRZEJ DUDA

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 44 INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
Mat. prasowe wydawcy Videre sp. z o.o.

TYSOL.PL

- ŻUREK NA OSTRO
- ZATRZYMAĆ IMPORT UKRAIŃSKIEJ STALI

Pierwsza taka opowieść o życiu i prezydenturze

Wydanie specjalne książki Andrzeja Dudy

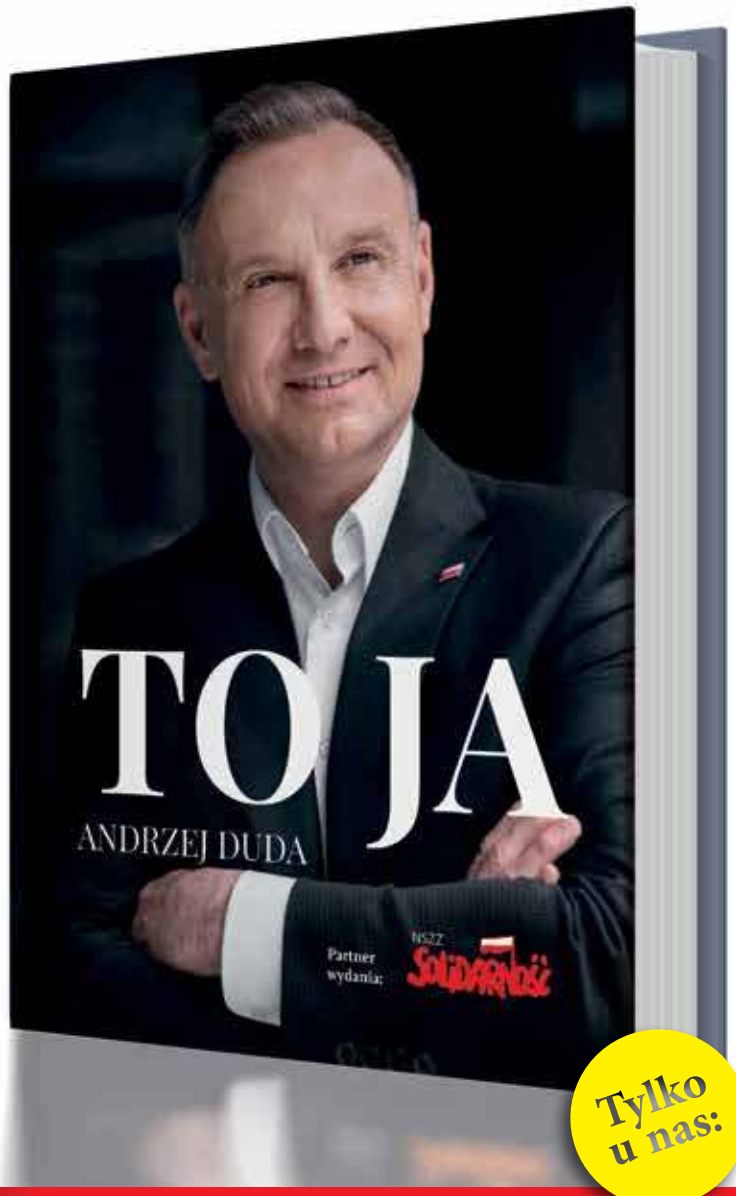

- Edycja specjalna przeznaczona dla członków i sympatyków NSZZ „Solidarność".
- Ekskluzywna publikacja:
  - twarda, lakierowana oprawa,
  - ponad 250 kolorowych ilustracji,
  - 672 strony.
- Dodatkowy rozdział o Solidarności dostępny wyłącznie w tym wydaniu.
- Fotografie związane z Solidarnością.
- Słowo wstępne przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotra Dudy.

Tylko u nas:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl d791689b9e

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Dopiero teraz, po zakończeniu prezydentury Andrzeja Dudy, widać wyraźnie, jak głęboka więź łączy go z Solidarnością. Gdy z jego barków spadł ciężar urzędowego protokołu, gdy zniknęła konieczność ważenia każdego słowa pod kątem politycznych konsekwencji, widać człowieka, który mówi o Związku z autentycznym szacunkiem. Nie jak polityk, lecz jak ktoś, kto czuje dumę z tego, że był częścią wspaniałej historii Solidarności.

Andrzej Duda wciąż mówi o Związku z ciepłem, z wdzięcznością, z poczuciem, że to właśnie z jego ducha wspólnoty i odpowiedzialności wyrasta sposób myślenia byłego prezydenta o państwie.

W specjalnej edycji książki „To ja. Andrzej Duda" znalazł się rozdział poświęcony właśnie relacjom ze Związkiem. Nie jest to chłodna analiza ani polityczny raport. To zapis emocji, wspomnień, a nawet wątpliwości. Były prezydent pisze także o trudnych rozmowach z przedstawicielami Solidarności, o chwilach, gdy interes społeczny zderzał się z realiami polityki.

Solidarność przedstawia jako część własnej tożsamości. Gdy mówi o Związku, powraca ton emocjonalny, osobisty, ton człowieka, który widzi w Solidarności nie tylko związek zawodowy, ale moralny kompas współczesnej Polski.

„To ja. Andrzej Duda" nie jest chłodną analizą ani politycznym raportem. To zapis emocji, wspomnień, a nawet wątpliwości.

Po latach władzy, kiedy wielu polityków odcina się od dawnych sojuszy, Andrzej Duda zachowuje ten kontakt i robi to w sposób, który trudno uznać za czysto symboliczny. Widać to było doskonale podczas ubiegłotygodniowego spotkania dotyczącego książki w Kielcach. Były prezydent w towarzystwie przewodniczącego Piotra Dudy na spotkaniu z mieszkańcami miasta oraz członkami i sympatykami Solidarności był jakby u siebie, wśród swoich.

Dziś, gdy polityczne emocje wokół jego prezydentury powoli wygasają, zostaje coś trwalszego – obraz człowieka, który odchodzi z urzędu, ale nie wycofuje się z wartości. Dla jednych to gest lojalności wobec Związku, dla innych dowód, że w polityce można pozostać wiernym swoim przekonaniom. W czasach, gdy tak łatwo zapomina się o własnych korzeniach, Andrzej Duda przypomina, że Solidarność to sposób myślenia o Polsce jako o państwie, które ma być wspólne, a nie należące do jednej czy drugiej partii.

Jego książka i słowa, które padają po zakończeniu prezydentury, pokazują, że nawet na najwyższych szczeblach władzy można zachować wierność ideałom. Że można patrzeć na kraj z perspektywy prezydenckiego gabinetu, a jednak wciąż czuć w sercu te same emocje, które towarzyszyły strajkującym w 1980 roku. To wartość w polskiej polityce bardzo rzadka i jest ona nie do przecenienia.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl d791689b9e

04.11.2025
WYDANIE Nr
44

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Autobiografia Andrzeja Dudy

6	Andrzej Duda o sobie i Solidarności
10	Być blisko ludzi
12	O prezydenturze i Solidarności. Za nami niezwykłe spotkanie w Kielcach
14	Cień na prezydenturze
18	Ukraina nie jest wrogiem
22	Pogarda 2.0 i ostry cień mgły

KRAJ

Solidarność na konwencji PiS 26
Żurek na ostro: zamknąć PiS i przejąć sądy 30
Obowiązek wojskowy nie powinien obejmować kobiet 34

STREFA KONTAKTU IGORA ZALEWSKIEGO 38

SPOŁECZEŃSTWO

Podglądactwo vs. kultura 44

KULTURA

Spełniam się przez naturę. Rozmowa z E. Polak 48
Jesień krótkometrażowa 52
Literackie upiory postkomuny 56

ŚWIAT WOKÓŁ NAS

Ambasador obcych 60

ZWIĄZEK

Co w związku 64
Antypracowniczy dyrektor szpitala w Przasnyszu 66
Zatrzymać import ukraińskiej stali. Rozmowa z R. Gonerą 68
Z „Beczki" do Solidarności – film o młodych, którzy nie bali się mówić prawdy 71

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 21
SKWIECIŃSKI 33
GAC 47

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 29
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 42
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 59
KARUZELA Z BLOGERAMI 63
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność"

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS" na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl d791689b9e

Rafał Woś

Andrzej Duda był OK

Uważam, że Andrzej Duda był dobrym – a momentami bardzo dobrym – prezydentem Rzeczpospolitej. I jak dotąd nie usłyszałem argumentu, który przekonałby mnie do radykalnej zmiany zdania.

Jest wśród prawicowych komentatorów ostatnio taki trend, by się wobec prezydentury PAD-a ostro zdystansować. Różne to przybiera barwy. Jest opowieść o „zmarnowanej dekadzie" – według której Andrzej Duda nie wykorzystał dostępnego potencjału, by zbudować wokół siebie i Pałacu Prezydenckiego jakąś siłę polityczną albo przynajmniej frakcję. Inni mówią, że hamował i gdyby nie on (weta do ustaw sądowych Zbigniewa Ziobry), to reforma wymiaru sprawiedliwości by się udała jak złoto, a Adam Bodnar i Waldemar Żurek połamaliby sobie teraz na nich zęby. Jeszcze inni puszczają się poręczy, już kompletnie jadąc po Dudzie na pełnej – by tak rzec – petardzie. Z byłego prezydenta robi się wręcz zdrajcę narodu polskiego, który dla podtrzymania dobrych relacji z Zełeńskim gotów był zamiatać pod dywan gniew polskich rolników na napływ taniego zboża z Ukrainy czy oficjalny kult Bandery nad Dnieprem.

Szczerze mówiąc, żadna z tych opowieści nie wydaje się przekonująca. Ta pierwsza zdaje się czynić Dudzie zarzut o to, że nie rozbijał od środka Zjednoczonej Prawicy. Ta druga – odwrotnie – kamufluje własną nieudolność ziobrystów w realizacji zadania, którego się podjęli, winę przerzucając na prezydenta, wmawiając mu de facto bycie piątą kolumną III RP. Zarzuty wobec polityki ukraińskiej prezydenta uważam zaś za przejaw czystej histerii. Głównie dlatego, że polityka Andrzeja Dudy (bezwarunkowe wsparcie w pierwszej fazie konfliktu, gdy wspólnota antyrosyjskiego interesu Warszawy i Kijowa była oczywista, a potem stopniowo coraz większy dystans, gdy zaczęły się pojawiać realne różnice interesu) była dokładnie taka, jakiej życzyła sobie wówczas przeważająca większość polskich obywateli. Nie bardzo też rozumiem, co miałby Duda uczynić, by usatysfakcjonować dzisiejszych jastrzębi kwestii ukraińskiej. Nie dopuścić do bezwarunkowego otwarcia polskiej granicy dla uchodźców ze wschodu po inwazji Putina? Zagrozić Kijowowi zablokowaniem idącej przez Polskę pomocy wojskowej dla Ukrainy, jeśli – powiedzmy – nie ogłoszą Bandery ludobójcą? Przecież takie posunięcia byłyby kompletnie nieadekwatne do sytuacji i nawet dziś byłyby trudne do wytłumaczenia większości polskich obywateli. Nie mówię jastrzębiom, ale właśnie większości.

Wszystkie te zarzuty nie dają – moim zdaniem – żadnego twardego powodu, by przekreślić dokonania 10 lat prezydentury PAD-a, które oceniam pozytywnie. Wśród najważniejszych osiągnięć wymienić trzeba to, że prezydent Duda był wielkim patronem prospołecznego zwrotu w polityce PiS po roku 2015, nierzadko (tak było choćby w przypadku obniżki wieku emerytalnego) aktywnie sprawy inicjując. A potem – po utracie władzy przez PiS – blokując rozmontowanie takich rozwiązań jak np. wolne niedziele w handlu, na co liberalne dinozaury od Tuska miały przecież wielką chrapkę.

Nie ma też – moim zdaniem – większego sensu porównywać Andrzeja Dudy z Karolem Nawrockim, co niektórzy radośnie, ale naiwnie, czynią. Również dlatego, że Nawro ma... dużo łatwiej. Jego prezydentura odbywa się już w zupełnie innym toczeniu medialnym, gdzie monopol nienawidzących PiS-u liberałów został już na dobre przełamany. Duda swoją prezydenturę zdobył, a potem stawiał pierwsze kroki jeszcze w świecie doskonale naoliwionego przemysłu pogardy stworzonego do zwalczania Lecha Kaczyńskiego. To, że w tym świecie przetrwał i czterokrotnie wygrywał powszechne głosowanie, mówi więcej niż wszystkie publicystyczne mądrości razem wzięte.

eprasa.pl d791689b9e

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Andrzej Duda O SOBIE I SOLIDARNOŚCI

Dołączony do autobiografii byłego prezydenta rozdział o Solidarności stał się jednym z **najciekawszych** fragmentów książki pt. „To ja. Andrzej Duda". Nie dlatego, że jest najważniejszy dla struktury publikacji, ale dlatego, że jest najprawdziwszy.

Barbara Michałowska

Kiedy kończy się kadencja prezydenta, kończy się pewien rozdział w historii politycznej – ale zaczyna się inny, bardziej osobisty. W przypadku Andrzeja Dudy to przejście widać wyraźnie w jego autobiografii „To ja. Andrzej Duda". To obszerna opowieść o drodze życiowej – od dzieciństwa w Krakowie, przez pierwsze kroki w polityce, po dekadę sprawowania najwyższego urzędu w państwie. W najnowszej edycji książki wśród wielu tematów, wspomnień i analiz szczególną uwagę przyciąga rozdział poświęcony Solidarności. To on stanowi ideowe dopełnienie opisanej drogi Andrzeja Dudy.

To ja

Książka jest przede wszystkim próbą spojrzenia na własne życie z perspektywy czasu. Już sam tytuł „To ja" jest deklaracją osobistego tonu: to on sam opowiada, z własnej perspektywy, bez pośredników, wbrew medialnym uproszczeniom. Sam Andrzej Duda podkreślał wielokrotnie w rozmowach z dziennikarzami, że powstało o nim wiele książek, ale pisząc „To ja", chciał, by jego historia została opowiedziana przez niego samego.

Jest to więc opowieść o tym, jak wyglądała codzienność prezydenta, o czym myślał w trudnych chwilach, jak godził oczekiwania ludzi z własnym sumieniem. Andrzej Duda obiecuje „bez upiększeń", choć czytelnik szybko wyczuwa, że to raczej szczerość kontrolowana – taka, która pokazuje emocje, ale nie pozwala na autodestrukcję.

Wychowany na Solidarności

Na tle opowieści o kampaniach, wizytach, decyzjach i spotkaniach międzynarodowych rozdział o Solidarności wyróżnia się tonem. Jest mniej urzędowy, bardziej ludzki. Były prezydent odstawia na bok polityczny język i mówi o sprawach, które naprawdę go ukształtowały. Pisze o rodzicach – członkach Związku od pierwszych dni jego istnienia – i o tym, jak idea wspólnoty pracy i odpowiedzialności przenikała jego wychowanie. Jak wspomina, to właśnie wtedy, w dzieciństwie lat 80., uczył się, że solidarność nie jest hasłem, lecz codzienną postawą: że można różnić się w poglądach,

eprasa.pl d791689b9e

Dobrze się dogadywaliśmy z Piotrem – jak Duda z Dudą (zbieżność nazwisk przypadkowa). Brałem udział w zjazdach delegatów NSZZ „Solidarność". Ograniczenie handlu w niedzielę, wydłużenie urlopu rodzicielskiego, wprowadzenie urlopu opiekuńczego – sprawy ważne dla Związku przeprowadziliśmy skutecznie przez Sejm.

Jedna ze stron autobiografii Andrzeja Dudy poświęcona Solidarności

eprasa.pl d791689b9e

ale nie w szacunku dla drugiego człowieka.

W autobiografii Andrzeja Dudy widać, że ta pamięć pozostała z nim przez całe życie. Wspomina momenty, w których Solidarność stawała się dla niego punktem odniesienia – zarówno w sensie wartości, jak i politycznego dialogu. Przyznaje, że to środowisko miało dla niego znaczenie symboliczne, ale i realne: że konsultował się z przedstawicielami Związku, że wsłuchiwał się w ich głos w sprawach społecznych i gospodarczych. Nie ukrywa też, że relacja ta bywała trudna – bo choć między prezydentem a Solidarnością istniało porozumienie ideowe, to nie brakowało różnic w szczegółach, w tempie zmian, w ocenie działań rządu czy konkretnych ustaw.

Andrzej Duda pisze jednak o tych różnicach bez dystansu i chłodu. Przeciwnie – z pewnym rodzajem szacunku, nawet wdzięczności. Bo właśnie w tym – jak podkreśla – przejawiała się prawdziwa wartość Solidarności: w odwadze mówienia prawdy wprost, także wówczas, gdy była niewygodna.

Polityk, któremu można zaufać

Dodatkiem do tej specjalnej edycji jest wstęp przewodniczącego Piotra Dudy, który w osobistym tonie wspomina spotkania z prezydentem. Przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", który niejednokrotnie powtarzał, że Andrzej Duda to polityk, któremu można zaufać, który dotrzymuje słowa i który nigdy Solidarności nie zawiódł, ma świadomość, że wiele postulatów Solidarności zostało wcielonych w życie właśnie dzięki temu, że w Pałacu Prezydenckim zasiadał Andrzej Duda.

Dla byłego prezydenta ta współpraca to nie epizod, ale – jak deklaruje – część jego tożsamości. W rozdziale nie brakuje fragmentów osobistych: wspomnień o spotkaniach z członkami i działaczami Solidarności, rozmowach, momentach wzruszenia. Pisze o związkowcach z autentycznym uznaniem, jako o tych, którzy zachowali w sobie wierność ideałom. Dla niego Solidarność nie jest zrywem czy ruchem politycznym, ale tym, czym od 45 lat jest w istocie, czyli związkiem zawodowym broniącym ludzi pracy i wiernym ideałom, na których fundamentach powstał. To dla niego także depozytariusz wartości, które on sam chciał realizować w prezydenturze – godności pracy, dialogu społecznego i poszanowania wspólnoty.

ANDRZEJ DUDA MÓWI O SOLIDARNOŚCI BEZ POLITYCZNYCH FILTRÓW, Z WDZIĘCZNOŚCIĄ I PEWNĄ CZUŁOŚCIĄ.

Najtrwalsze doświadczenie prezydentury

W tym sensie książka „To ja. Andrzej Duda" jest nie tylko autobiografią, ale też swoistym pomostem między pokoleniami. Andrzej Duda nie próbuje kreować się na spadkobiercę Solidarności – raczej pokazuje, jak jej duch wpłynął na ludzi jego generacji, tych, którzy dorastali już w wolnej Polsce, ale z pamięcią o tym, jak ta wolność się rodziła. Wspomina, że duch Sierpnia '80 był dla niego czymś żywym – czymś, co pomagało mu zachować dystans wobec władzy, przypominało, że każda decyzja polityczna powinna mieć wymiar moralny.

Dziś, gdy nie pełni już urzędu, ten ton brzmi jeszcze mocniej. Mówi o Solidarności bez politycznych filtrów, z wdzięcznością i pewną czułością. Już nie jako prezydent, ale jako człowiek, który może mówić o swoich emocjach. W wywiadach podkreśla, że relacja ze Związkiem była dla niego jednym z najtrwalszych doświadczeń prezydentury – i że wśród wszystkich kontaktów z organizacjami społecznymi to właśnie Solidarność miała dla niego znaczenie wyjątkowe.

KSIĄŻKA JEST ŚWIADECTWEM, ŻE W POLITYCE – TEJ PRAWDZIWEJ, A NIE MEDIALNEJ – MOŻNA ZACHOWAĆ PRZYWIĄZANIE DO WARTOŚCI.

Oczywiście, jak większość autobiografii i ta jest pewnego rodzaju autokreacją. To próba zbudowania obrazu prezydenta bliskiego ludziom,

eprasa.pl d791689b9e

zakorzenionego w tradycji, wiernego ideałom. Czytając tę książkę, z jednej strony ma się świadomość, że to nie jest pełen obraz prezydentury, że Andrzej Duda zdradza jedynie to, co chce, że jest w tej wygodnej sytuacji, że może nie pisać o rzeczach dla niego trudnych. Mimo to były prezydent wydaje się w swoich wyznaniach autentyczny.

Autentyczna jest też przyjaźń z Solidarnością. Trudno znaleźć w życiu społecznym ostatnich lat inną relację między głową państwa a związkiem zawodowym o tak trwałym charakterze i emocjonalnym wymiarze.

Właśnie dlatego rozdział o Solidarności staje się jednym z najciekawszych fragmentów „To ja. Andrzej Duda". Nie dlatego, że jest najważniejszy dla struktury książki, ale dlatego, że jest najprawdziwszy. To moment, w którym znika dystans. Zostaje człowiek, który po latach w polityce wciąż wierzy, że wspólnota, lojalność i praca na rzecz innych mają sens.

Paradoks

Być może właśnie w tym tkwi paradoks tej autobiografii: Andrzej Duda opowiada o dziesięciu latach na szczytach władzy, ale jej sercem okazuje się fragment poświęcony ludziom Solidarności. W tym sensie książka przypomina, że w polskim życiu publicznym istnieje pewna ciągłość, że mimo zmieniających się realiów, mimo podziałów politycznych i zmieniających się priorytetów władzy wciąż można odnaleźć ślad tamtego ducha, który w 1980 roku odmienił kraj.

Książka, a szczególnie rozdział poświęcony Solidarności, jest świadectwem, że w polityce – tej prawdziwej, a nie medialnej – można zachować przywiązanie do wartości. W czasach, gdy solidarność często bywa tylko słowem w kampanii, to naprawdę dużo znaczy. I choćby z tego powodu warto po tę książkę sięgnąć.

PREZYDENT PISZE O ZWIĄZKOWCACH Z AUTENTYCZNYM UZNANIEM, JAKO O TYCH, KTÓRZY ZACHOWALI W SOBIE WIERNOŚĆ IDEAŁOM.

Michałowi Ossowskiemu

Redaktorowi Naczelnemu „Tygodnika Solidarność"
szczere wyrazy współczucia
po śmierci

Teścia

w imieniu Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność"
składa
Piotr Duda

Jesteśmy z Tobą myślami
w tym trudnym czasie.

eprasa.pl d791689b9e

Andrzej Duda: Być blisko ludzi

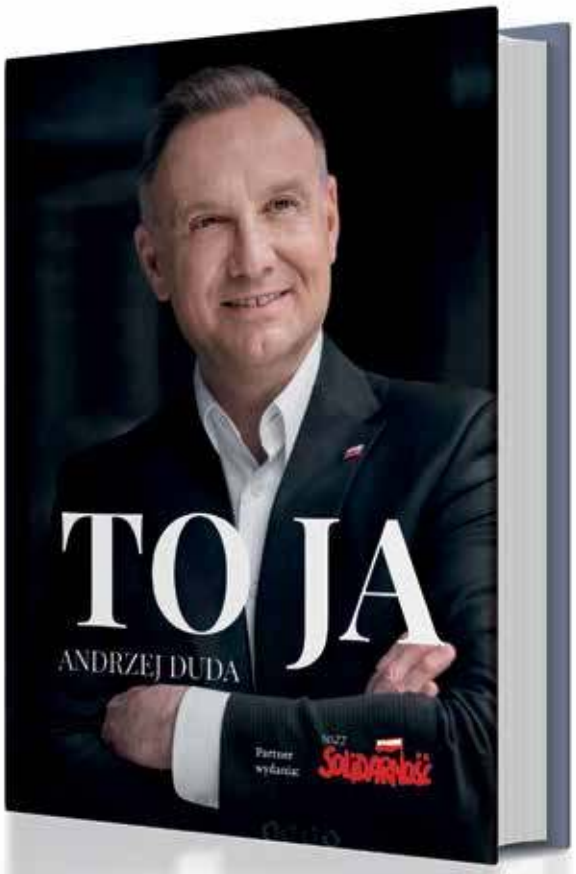

Zapewnienie Polakom godnego życia, wyrównywanie szans – realizacja tych celów to było dla mnie **prawdziwe dziedzictwo Solidarności**. Kontynuacja zmian, o które walczyło pokolenie naszych rodziców.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny, a w poniedziałek, 14 grudnia, pracownicy Akademii Górniczo-Hutniczej podjęli decyzję o rozpoczęciu strajku okupacyjnego. Również ojciec wziął w nim udział. Nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy tata wkrótce wrócił do domu. Cieszyłem się, ale jego powrót oznaczał, że strajk został spacyfikowany. Pełnym goryczy głosem opowiadał, że ktoś z obecnych na strajku otworzył okno, którym do budynku weszła uzbrojona w karabiny automatyczne milicja. Wtedy po raz pierwszy w życiu dowiedziałem się, że ktoś może być tajnym współpracownikiem komunistycznej SB. I że to oznacza, że jest zdrajcą, konfidentem.

Ducha oporu w ludziach jednak nie złamano. Ojciec należał do podziemnej Solidarności na swoim wydziale na AGH. Pamiętam, że od tego czasu w domu było pełno bibuły – obok innych, oficjalnie ukazujących się tytułów prasowych, które rodzice prenumerowali, leżały ulotki i gazetki podziemne, często bardzo porządnie wydawane.

Nasz jest etos Solidarności

Zaczytywałem się w pismach drugiego obiegu. Zacząłem coraz bardziej żyć sprawami walki, aresztowań, demonstracji. Miałem wrażenie, że pod powierzchnią, w podziemiu, buzuje. W 1984 roku wstąpiłem do 5. Krakowskiej Drużyny Harcerskiej „Piorun" imienia Legionistów 1914 roku. Nie pozwolono jej przyjąć nazwy „Legionistów Marszałka Piłsudskiego", ale i tak nawiązywaliśmy do tradycji piłsudczykowskich, przedwojennego harcerstwa. Drużyna działała oficjalnie, lecz w pewnych aspektach – w podziemiu. Dwóch znacznie starszych ode mnie kolegów było prześladowanych, przesłuchiwała ich milicja. Jednego z chłopaków bili, uderzali krzesłem – tak mocno, że mebel się rozpadł. Mimo tortur nikogo nie wsypał, nie zadenuncjował.

W domu i na zbiórkach formowała się moja postawa wobec rzeczywistości. Rosło we mnie poczucie, że komunistyczne władze są obce, a nasz jest etos Solidarności. Znacznie głębiej zrozumiałem go już jako w pełni dorosły człowiek, u boku prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Opowiadał on o ruchu z punktu widzenia kogoś, kto był w jego centrum. Nakładałem tę opowieść na swoje dziecięce przeżycia i tak dopełnił się w mojej głowie obraz Solidarności – jakby ktoś odwrócił kurtkę na drugą stronę i pozwolił zajrzeć pod powierzchnię, warstwę dotąd przede mną ukrytą.

Lech Kaczyński był specjalistą od prawa pracy i chętnie o tych zagadnieniach dyskutował: na czym polega działalność związkowa w demokratycznym państwie prawa, jakie są zasady społecznej gospodarki rynkowej, dlaczego trzeba się wsłuchiwać w postulaty pracownicze... Dla prezydenta było niezwykle ważne, byśmy to rozumieli.

– Andrzej, nie jest w interesie żadnego związku zawodowego, by zakład upadł. Przecież jak

eprasa.pl d791689b9e

przedsiębiorstwo upadnie, to ludzie stracą pracę. Rozumiesz? Związek zawodowy to nie jest związek samobójców. A zakład pracy nie jest zakładem niewolników. Rolą związku jest ochrona praw pracowników, a to przekłada się w efekcie na sprawne funkcjonowanie przedsiębiorstwa. Ludzie chcą, żeby ich zakład dobrze prosperował.

Jak Duda z Dudą

Jako minister towarzyszyłem prezydentowi w jego wizytach na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Przewodniczącym tamtejszej Solidarności był Piotr Duda – wtedy się poznaliśmy. Po śmierci prezydenta zaprosił mnie na uroczystość odsłonięcia tablicy ku czci Lecha Kaczyńskiego, a w październiku 2010 roku został przewodniczącym Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Dobrze się dogadywaliśmy – jak Duda z Dudą (zbieżność nazwisk przypadkowa). Nasze drogi zeszły się jeszcze wielokrotnie, także wtedy, gdy jako poseł na Sejm z ramienia PiS-u wspólnie z Solidarnością występowaliśmy przeciwko podwyższeniu wieku emerytalnego.

Siła Solidarności

Solidarność jest silna niezwykłymi ludźmi, którzy ją tworzą. Jedną z największych zalet tego związku jest fakt, że zrzesza Polaków z wszystkich regionów, reprezentujących rozmaite zawody i poziomy wykształcenia – prawdziwy przekrój społeczeństwa. Najbardziej dało się to odczuć podczas Krajowych Zjazdów Delegatów. Zjazd to w NSZZ najwyższa władza stanowiąca, tworzona między innymi przez osoby wybrane przez walne zebrania delegatów regionów.

Atmosfera panująca na zjazdach była dla mnie czymś niesamowitym. Kiedy w październiku 2018 roku pojechałem do Częstochowy na XXIX Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność", wspominałem, że dokładnie 10 lat wcześniej, w XXII Zjeździe w Wadowicach, uczestniczył prezydent Lech Kaczyński. Był przyjmowany jak bohater, ale nie budował żadnego dystansu.

– Na tej sali, gdzie odbywa się zjazd Solidarności, czuję się zawsze bardzo dobrze – mówił z uśmiechem i faktycznie sprawiał wrażenie uradowanego. Jak człowiek, który przyjechał do swoich, do ludzi, z którymi czuje się związany.

Fascynujące było obserwowanie tego z bliska. To właśnie podczas jednego z takich wydarzeń dostąpiłem zaszczytu, którego wspomnienie do dziś bardzo mnie wzrusza. To było wielkie spotkanie, w ogromnej hali. Mnóstwo ludzi chciało spotkać legendarną postać – prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który po objęciu prezydentury przez Lecha Wałęsę de facto wykonywał obowiązki przewodniczącego związku. Właśnie wtedy po raz pierwszy, w obecności tej rzeszy ludzi, przedstawił mnie, mówiąc: „To mój prawnik". Dla mnie, trzydziestoparolatka, skromnego doktora, usłyszeć coś takiego z ust prezydenta, profesora nauk prawnych, było wielką nobilitacją.

Jak w rodzinie

Zresztą środowisko Solidarności ma to do siebie, że tytuły i rangi naprawdę nie są istotne – tu, wśród delegatów, ramię w ramię obok siebie mogą siedzieć profesor uniwersytecki i robotnik z fabryki. Niektórzy uraczą kwiecistym przemówieniem z wyszukanym słownictwem, inni łapią za ramiona, przyciągają do siebie, przytulają się. Część świadków takich spontanicznych zachowań chwytała się za głowę, uważając, że tak nie wypada. Ale mnie ta naturalność i bezpośredniość nigdy nie raziły. Trochę jak w rodzinie, do której przyjeżdża się tak po prostu, bez napięcia. Prezydencki majestat może wybrzmieć przy innych okazjach, jest ich mnóstwo – a tu chodziło o bycie blisko ludzi.

Mieliśmy z Piotrem Dudą taką zasadę, że zawsze przechodziliśmy razem przez salę, pomiędzy stołami, przy których siedzą delegaci, i z każdym wymienialiśmy uścisk dłoni. Z każdym, nawet jeśli było to kilkaset osób. Trwało to kilkanaście, a czasem kilkadziesiąt minut, i taka rezerwa czasowa musiała zostać uwzględniona w moim rozkładzie. Bo oprócz uścisku dłoni były podpisy na zjazdowych identyfikatorach (na pamiątkę), rozmowy, zaproszenia do odwiedzin konkretnego zakładu pracy. No i selfie, często z niejednym dublem.

W DOMU I NA ZBIÓRKACH FORMOWAŁA SIĘ MOJA POSTAWA WOBEC RZECZYWISTOŚCI. ROSŁO WE MNIE POCZUCIE, ŻE KOMUNISTYCZNE WŁADZE SĄ OBCE, A NASZ JEST ETOS SOLIDARNOŚCI.

Fragmenty wydania specjalnego autobiografii prezydenta Andrzeja Dudy pt. „To ja. Andrzej Duda". Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl d791689b9e

O prezydenturze i Solidarności.

Za nami niezwykłe spotkanie w Kielcach

– Podpis Solidarności pod książką, która opowiada o 10 latach mojej prezydentury, to jest dla mnie przypieczętowanie tego, że **umówiłem się** na realizację postulatów ważnych dla Polaków, pracowników, ludzi i zrealizowałem to zadanie w ocenie Solidarności w stopniu wystarczającym – mówił w ubiegłym tygodniu w Kielcach podczas spotkania autorskiego promującego specjalną edycję książki „To ja. Andrzej Duda" z rozdziałem o Solidarności były prezydent RP.

Marcin Krzeszowiec

W sali kominkowej Wojewódzkiego Domu Kultury w Kielcach były prezydent Andrzej Duda zaprezentował w poniedziałek 30 października specjalne wydanie swojej autobiografii pt. „To ja. Andrzej Duda", w której znalazł się rozdział poświęcony współpracy z NSZZ „Solidarność". Wstęp do książki napisał obecny na spotkaniu Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „S".

Spotkanie zostało zorganizowane przez Fundację Promocji Solidarności oraz Region Świętokrzyski NSZZ „Solidarność".

Dobrze wykonane zadanie

– Chcę ogromnie podziękować panu przewodniczącemu Piotrowi Dudzie, że zgodził się razem z kierownictwem „S" i swoimi współpracownikami, żeby ta książka powstała w specjalnym wydaniu wspólnie z Solidarnością. Dla mnie to takie niezwykłe świadectwo, że mogę sobie biblijnie powiedzieć: „W dobrych zawodach wystąpiłeś, bieg ukończyłeś, wiary ustrzegłeś". Podpis Solidarności pod książką, która opowiada o 10 latach mojej prezydentury, to jest dla mnie przypieczętowanie tego, że umówiłem się na realizację postulatów ważnych dla Polaków, pracowników, ludzi i zrealizowałem to zadanie w ocenie Solidarności w stopniu wystarczającym – mówił prezydent Duda.

Przyznał, że zostały jeszcze pewne postulaty, ale jak dodał z uśmiechem: „Niech inni też mają coś do roboty".

Andrzej Duda powiedział, że nie byłoby go dzisiaj w polityce, gdyby nie NSZZ „Solidarność", gdyby jego rodzice nie należeli do tego Związku, gdyby nie był wychowywany w duchu Solidarności i w końcu gdyby nie to, że znalazł się „pod skrzydłami prezydenta Lecha Kaczyńskiego, człowieka Solidarności, który tyle o tej «S» mi opowiadał, o jej istocie, idei ruchu związkowego i czym naprawdę ta Solidarność jest".

– Dzisiaj mogę z czystym sumieniem powiedzieć: Tak, Solidarność nie jest żadnym ruchem politycznym. Solidarność jest prawdziwym związkiem zawodowym, który dba o interesy pracowników, członków Związku, ludzi pracy i o interesy polskiego społeczeństwa – podkreślał.

„I tak wygramy"

Byłego prezydenta nie zdziwiła sytuacja z kampanii wyborczej

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl d791689b9e

w 2011 roku, kiedy to Donald Tusk „brutalnie skłamał" i „mówił wprost do kamery, że wiek emerytalny nie zostanie podniesiony".

– Mówił to tuż przed samymi wyborami, kiedy jest wysoce prawdopodobne, że wynik tych wyborów od tego zależał. Kłamał więc wprost do kamery, żeby dosłownie chyba miesiąc później oświadczyć, że właśnie zmienił zdanie. To mnie ostatecznie przekonało, że mam do czynienia z brutalnym, cynicznym człowiekiem, który nie cofnie się przed niczym, żeby zdobyć władzę – skwitował.

Decyzja o podwyższeniu wieku emerytalnego wywołała protesty społeczne, których atmosferę przypomniał w trakcie spotkania przewodniczący Solidarności. Solidarność pikietowała zarówno pod Sejmem, jak i później pod Pałacem Prezydenckim.

– To był jedyny dzień, kiedy to ja ustalałem, do której godziny wówczas poseł Andrzej Duda będzie pracował. Bo to wtedy spętaliśmy łańcuchami dookoła Sejm. Sceny tam były dantejskie. Niektórzy posłowie próbowali wyjeżdżać w bagażnikach samochodów, niektórzy od drugiej strony przerzucali swoje walizki, a my im je odrzucaliśmy. Pan prezydent Duda chyba też próbował pytać, czy to dotyczy wszystkich, czy tylko rządu – mówił z uśmiechem Piotr Duda.

– Oczywiście później byłem okrzyknięty przestępcą, kierowałem zorganizowaną grupą przestępczą, chodziłem po prokuraturach, ówczesna marszałek Ewa Kopacz nie wpuściła mnie i reprezentacji „S" na galerię, żebyśmy przyglądali się głosowaniu. Mało tego, nie wpuścił mnie też do Senatu ówczesny marszałek Borusewicz. Wtedy odchodząc spod Sejmu, powiedziałem krótko do związkowców: „Dziękuję wam za Solidarność. I tak wygramy" – wspominał.

Ekspres do kawy i umowa programowa

Spotkanie obfitowało też w humorystyczne akcenty. Jeden z nich miał związek z ekspresem do kawy i podpisaniem drugiej umowy programowej pomiędzy prezydentem a związkiem zawodowym Solidarność.

– To było w Warszawie, w biurze Komisji Krajowej przy Prostej. Pan prezydent przyjechał wtedy do nas. Siedzieliśmy w małej salce, bo nie mogliśmy zaprosić więcej gości z powodu COVID-u. Kupiliśmy nowy ekspres do kawy i oczywiście od rana próbowaliśmy go uruchomić... wyższa szkoła jazdy. Wtedy wchodzi prezydent i mówi: „Napiłbym się kawy". Mówimy: „Nie ma! Znaczy jest kawa, ale ekspres nie działa". No i prezydent jako dobry technicznie człowiek uruchomił nam ten ekspres do kawy. Czyli były w tym dniu dwie pozytywne sprawy: podpisanie kolejnej umowy programowej i uruchomienie ekspresu do kawy – żartował szef Solidarności.

Po oficjalnej części spotkania Andrzej Duda i Piotr Duda wspólnie podpisywali książkę. Był czas na rozmowy z czytelnikami i wspólne zdjęcia.

To nie jedyne planowane spotkanie z prezydentem Andrzejem Dudą i przewodniczącym Piotrem Dudą. Następne odbędą się m.in. w Warszawie i Gdańsku.

eprasa.pl d791689b9e

Cień na prezydenturze

Prezydent Polski Andrzej Duda i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski podczas spotkania w Dniu Konstytucji Ukrainy; Kijów, 28 czerwca br.

Fot. Thomas Peter / Reuters / Forum

Były prezydent Andrzej Duda zostanie zapamiętany przez wielu swoich wyborców z powodu **zbyt miękkiej postawy** wobec Wołodymyra Zełenskiego i Ukrainy.

Jakub Pacan

Dziesięć lat prezydentury Andrzeja Dudy trudno ocenić zero-jedynkowo. Analizy pełne lukru tak samo nic nie wnoszą jak te przesiąknięte jadem. W zrozumieniu tej prezydentury pomocne na pewno okaże się środowisko polityczne, w którym dojrzewał i w którym kształtowała się jego wrażliwość na działalność publiczną, oraz czas samej prezydentury, która z jednej strony była łatwa o tyle, że ominęła go konieczność kohabitacji, ponieważ sprawował swój urząd równolegle z rządami PiS. Z drugiej strony była to prezydentura przypadająca na czas pandemii i pełnoskalowej wojny na Ukrainie, kiedy Polska okazała się kluczowym hubem dla walczącej Ukrainy.

Szkoła krakowska

Andrzej Duda wywodzi się z krakowskiej inteligencji, ba, profesury, ponieważ jego rodzice swoją karierę zawodową realizowali w Akademii Górniczo-Hutniczej. Dojrzewał też w mieście specyficznym dla naszych map mentalnych i polskiej myśli politycznej. Były prezydent jest dziedzicem krakowskiego kon-

eprasa.pl d791689b9e

serwatyzmu. To mocno zaważyło na jego polityczności. Powinności, które zawiera w sobie etos inteligencji, pchnęły go do działalności na niwie publicznej, pielęgnowały w nim cnoty państwowca, tak mocno wyczuwalne w krakowskim konserwatyzmie, jednak styl wydawał się czasem na zbyt grzeczny, jak na warunki polityki warszawskiej.

Krakowski konserwatyzm, trochę stateczny, akademicki, mocno intelektualny, nie przesadzający z ekspresją i szukaniem wrogów na siłę, mówiący o potrzebie uszanowania tradycji i wartości, w zderzeniu z krzykliwą sejmową nawalanką, warszawskimi Dyzmami i w końcu takimi bogami wojny jak Jarosław Kaczyński czy Donald Tusk.

Jak się to ma do Andrzeja Dudy? Przez minione dziesięć lat nie zdołał zbudować swojej frakcji politycznej, nie powołał nowego bytu czy środowiska, nie uczestniczył w końcu w walkach na wyniszczenie toczonych wewnątrz PiS czy z ówczesną opozycją. Dziś, żeby coś znaczyć w polskiej polityce, trzeba używać ordynarnych metod, ordynarnej, bezczelnej narracji, czasem trzeba być nawet chamem twardo stawiającym na swoim, bo to w logice plemion wyborcom się po prostu podoba. Polską polityką rządzi dziś kilka ordynarnych emocji. Ten, kto się brzydzi unurzać w nich po łokcie, ten się nie przebije.

Andrzej Duda ze względu na swoje zasoby kulturowe wyniesione z domu i środowisko krakowskie miał naturalne blokady przed takim stylem zachowania. Żona mająca w najbliższej rodzinie czynnych poetów przewrażliwionych na wszelkie formy populizmu także ustawiła tutaj wysoko poprzeczkę. Owszem, kiedy trzeba było, Andrzej Duda potrafił być twardy, ale odbywało się to zazwyczaj wtedy, gdy sam był wywoływany do tablicy.

Osobiście stronił od inicjowania takich sytuacji, często uważał nawet, że musi brać udział w żenującym, niepotrzebnym spektaklu. Zazwyczaj działo się to wtedy, gdy jako prezydent podejmował autonomiczną decyzję, ale np. Jarosławowi Kaczyńskiemu wydawało się, że jego jedynowładztwo doznaje uszczerbku, ponieważ prezydent zachowuje się nie po jego myśli i – co gorsza – jeszcze bez stosownych konsultacji. Ale to są właśnie te dwa style myślenia, prezydent przekonany o słuszności swojej decyzji jak najlepszej dla Polski irytował się, że ktoś z jego obozu może ją podważać, ponieważ podjął ją bez dostatecznego dopieszczenia swoich.

Zarzut wobec byłego prezydenta, że był zbyt miękki w polityce zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej, przez co blokował np. reformę wymiaru sprawiedliwości, jest mu wypominany do dzisiaj. Wyraźnie było to widać choćby podczas Zjazdu Klubów „Gazety Polskiej" w Sulejowie, gdzie były prezydent był gościem. Wtedy się ulało, członkowie klubów jakby czekali na oficjalne zakończenie urzędu, by powiedzieć prezydentowi, za którego i z którym chcieli walczyć, że nie dał im za wiele sposobności do walki. „To myśmy chcieli iść przy twym boku, ostrzyliśmy miecze, a ty nas nie poprowadziłeś, nawet nie wyszedłeś do nas z tego pałacu" – pobrzmiewała pretensja. W końcu doszło do ostrej wymiany zdań. Krakowski konserwatyzm w osobie Andrzeja Dudy nie zrozumiał się tutaj z tradycją insurekcyjną reprezentowaną przez członków Klubów „Gazety Polskiej", którzy jeszcze w młodości przepojeni mitem powstań i marszałka Józefa Piłsudskiego dokonywali w karnawale Solidarności rzeczy wielkich.

Co się z nim stało?

W efekcie Andrzej Duda był odbierany jak „prawicowy", ale nie do końca „nasz", prawica, ale jakaś nie na dzisiejsze czasy, gra na inne tony niż te obowiązujące. Boi się? Chce się przypodobać stronie przeciwnej? Strona przeciwna uważała go za całkowicie oddanego sprawie PiS-owskiej, ale to akurat nic nadzwyczajnego, każdy prezydent w Polsce oskarżany jest o skrajną stronniczość i sprzyjanie swojej frakcji.

BYŁY JUŻ PREZYDENT CHYBA NIE CHCIAŁBY SŁYSZEĆ, CO MÓWIĄ O NIM JEGO WYBORCY PODCZAS MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI.

Elektoraty w Polsce się radykalizują, prawicowy może szczególnie ze względu na atmosferę wojenną i coraz liczniejszych przybyszów, głównie ze Wschodu. Prezydent w ogóle tego nie podjął, a jak podjął, to dla sporej części konserwatywnej opinii publicznej w Polsce zrobił to fatalnie.

Prawdziwy zarzut zdrady w sensie symboliczno-moralnym, a co radykalniejsi mówią nawet, że dosłownym, pojawił się bowiem przy okazji wojny na Ukrainie. Dla wielu prawicowych wyborców swoją polityką wobec Ukrainy i samej

eprasa.pl d791689b9e

postaci Wołodymyra Zełenskiego Andrzej Duda przekreślił wszystkie pozytywy, które wcześniej z jego prezydentury wynikały. Był prezydentem nie wybitnym, ale na pewno poprawnym, wiernym swoim wyborcom, intelektualnie i klasą dojrzałym do urzędu. Jego dwie kadencje w Pałacu Prezydenckim broniły się nie tylko wśród konserwatywnych wyborców.

Od momentu wybuchu wojny bardzo wielu Polaków czuło się upokorzonych przed światem i Zełenskim jego zachowaniem. Dziś bardzo wielu ludzi żyje w poczuciu nieustannej krzywdy, niezagojonej rany, przywołując obrazki korzenia się Andrzeja Dudy przed ukraińskim prezydentem. Były już prezydent chyba nie chciałby słyszeć, co mówią o nim jego byli wyborcy podczas Marszu Niepodległości w związku z jego pełnym i darmowym poddaństwem wobec Kijowa.

Skąd ten zawód postawą Andrzeja Dudy pchający ludzi, którzy przecież w dużej mierze na niego głosowali, do posądzania go aż o zdradę? Otóż Ukraina jest mentalnie i gospodarczo państwem postsowieckim, w wielu kwestiach, np. korupcji, dostępu do usług publicznych czy służby zdrowia. Jeszcze przed wojną kraj ten sytuował się między krajami afrykańskimi czy Ameryki Południowej. Kiedy wybuchła wojna, prezydent i rząd mieli wszelkie narzędzia, by wcisnąć w końcu Ukraińcom rzeź wołyńską w zęby, wymusić nie tylko ekshumację i symboliczne choćby zadośćuczynienie, ale także zmusić Ukrainę, by zaczęła uczyć swoich obywateli o bestialskich zbrodniach ich przodków w ukraińskich szkołach. Kto bardziej potrzebował pomocy? Ukraina od Polski czy Polska od Ukrainy? Kto dyktował tutaj warunki?

Prezydent tego nie zrobił, ba, nie reagował, dalej ściskał się z Zełenskim, kiedy na Ukrainie zaczął odradzać się wspierany przez państwo kult ukraińskich faszystowskich ludobójców i zaczęto tam budować pomniki Bandery i Szuchewycza. Wiedział i nie reagował. Kiedy wraz z Zełenskim w Łucku oddali hołd ofiarom rzezi wołyńskiej w 80. rocznicę ludobójstwa, Kancelaria Prezydenta napisała: „Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy! Razem jesteśmy silniejsi". Mój Boże, na te nic nieznaczące słowa zareagował ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski w „Onet Rano": „Wołyń nikogo nie zabił, tylko zabiła Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) i inne formacje, które kolaborowały z Niemcami. Ucieczka to jest klasyczna dla pana Andrzeja Dudy, że on ucieka od prawdy". Prezydent w Radiu ZET stwierdził: „Wolałbym, żeby nie zajmował się polityką, tylko tym, czym powinien zajmować się ksiądz". To czyją stronę trzymał tutaj prezydent?

> TO EWENEMENT W SKALI ŚWIATA, ŻE PAŃSTWO STOJĄCE WYŻEJ CYWILIZACYJNIE ZA WŁASNE PIENIĄDZE STAŁO SIĘ SŁUGĄ TEGO SŁABSZEGO ZA DARMO.

Przykro mi się zrobiło

Kiedy Zełenski bezczelnie szkalował Polskę na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ ws. importu ukraińskiego zboża, mówiąc: „Niepokojące jest to, jak niektórzy w Europie, niektórzy nasi przyjaciele w Europie, odgrywają w teatrze politycznym solidarność, robiąc thriller ze zbożem. Może się wydawać, że odgrywają własną rolę, ale w rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora", Andrzej Duda udawał, że pada deszcz. Później żalił się w TVN, że „Zełenski nie wymienił Polski, ale sugestia była i wszyscy ją zrozumieliśmy. Przykro mi się zrobiło, bo uważałem, że to było niesprawiedliwe". Ba, czekał nawet na Zełenskiego, by z nim o tym pomówić, ale ówczesny „król Polski", jak kąśliwie mówiło się o prezydencie Ukrainy, demonstracyjnie go zlekceważył. Nic to, Zełenski nadal traktowany był jako „przyjaciel".

W kwietniu 2023 roku podczas Polsko-Ukraińskiego Forum Gospodarczego – swoją drogą kraj od roku będący w stanie pełnoskalowej wojny ma jeszcze możliwości, by organizować takie fora – Andrzej Duda powiedział: „Jesteśmy największym partnerem handlowym Ukrainy i wierzę, że tak pozostanie. Chcielibyśmy, byście także po wojnie współdziałali, realizowali i zakładali biznesy. Mam nadzieję, że fizycznej granicy po tej wojnie między Polską a Ukrainą nie będzie, zwłaszcza kiedy Ukraina stanie się częścią Unii Europejskiej". Wtedy wielu ludzi na serio zaczęło się zastanawiać, czyim prezydentem jest Andrzej Duda, czyje interesy reprezentuje, polskie czy ukraińskie? I mimo całej złożoności geopolitycznej

eprasa.pl d791689b9e

prezydent doskonale wiedział, że Ukraina wybrała model konfrontacyjny relacji z Polską. Państwowość ukraińska jest nam państwowością nieprzychylną, momentami wrogą. Ukraińcy nam nie sprzyjają, mimo to prezydent cieszył się, że będą powstawały w Polsce ukraińskie biznesy, a kiedyś może nawet nie będzie granicy państwowej.

Prezydent ani razu nie podjął też kwestii ukraińskiej przestępczości w Polsce. Ukraińcy już dawno wyprzedzili Gruzinów czy Czeczenów w przestępczym rzemiośle. Nie podjął kwestii nieuczciwego zachowania Ukraińców wobec państwa polskiego, które ich ratowało, jak choćby zasiłki 800+ czy turystyka medyczna do Polski. Zrobił to dopiero jego następca.

W styczniu 2025 roku Andrzej Duda kolejny raz gościł Wołodymyra Zełenskiego w Warszawie z pełnymi honorami i w czasie, gdy na Ukrainie banderyzm kwitnie w najlepsze, a w kwestii czci dla ofiar rzezi wołyńskiej ze strony państwa ukraińskiego nie ma żadnych wyraźnych czynów, Andrzej Duda mówi: „Natomiast z punktu widzenia Ukrainy najistotniejsza jest kwestia gwarancji bezpieczeństwa, których tak naprawdę mogą udzielić Ukrainie wyłącznie kraje Sojuszu Północnoatlantyckiego. Tą największą gwarancją bezpieczeństwa dla Ukrainy byłoby – i wierzę, że w niedalekiej przyszłości będzie – członkostwo w NATO, czyli [...] gwarancje związane z art. 5”. Ukraina w NATO to zobowiązania dla takich krajów jak np. Polska, by w ramach art. 5 wysłać np. na Ukrainę Wojsko Polskie i włączyć Polskę do wojny w ramach NATO. Czy prezydent wiedział, co mówi?

Andrzej Duda jest także za członkostwem Ukrainy w UE. Czy były prezydent nie wie, że Ukraina w UE to doskonałe narzędzie wpływu dla imperialnej polityki niemieckiej? Roman Dmowski twierdził, że w interesie Niemiec jest wspieranie ukraińskiego ruchu narodowego, ponieważ to zawsze będzie problem dla Polski i Rosji. Dziś widać, jak Niemcy doskonale realizują tę antypolską politykę.

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA BYŁ ODBIERANY JAK „PRAWICOWY”, ALE NIE DO KOŃCA „NASZ”.

Tutaj zastrzeżenie, Ukraina ma prawo ubiegać się o członkostwo w UE i NATO, tak jak wcześniej robiła to Polska. Ale ze względu na konfrontacyjny charakter relacji, które wybrała z Polską, i tragiczną historię, do której Kijów nie chce się przyznać, obowiązkiem każdego polskiego polityka jest takie obwarowanie ukraińskich starań, by w końcu zmusić ukraińską klasę polityczną do zmiany postawy wobec Polski. Pierwszy w tych staraniach powinien być prezydent Rzeczypospolitej. Kiedy Karol Nawrocki zaczął stosunki z Ukrainą urealniać i oznajmił w styczniu br., że „na dzień dzisiejszy nie widzi Ukrainy ani w UE, ani w NATO”, Andrzej Duda wziął w obronę... Ukrainę. Zapowiedział w litewskiej telewizji publicznej LRT, że będzie rozmawiał ze swoim następcą na ten temat.

Przykładów spolegliwości Andrzeja Dudy wobec Ukrainy, udawania, że jest dobrze, kiedy strona ukraińska zachowywała się skandalicznie, jest aż nadto. To ewenement w skali świata, że państwo stojące wyżej cywilizacyjnie, mające wszelkie środki do wywierania wpływu na państwo słabsze i będące w desperacji, za własne pieniądze stało się sługą tego słabszego za darmo. Andrzej Duda wybitnie się do tego przyczynił.

Michale,
przyjmij wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

Łączymy się z Tobą i Twoją rodziną w bólu,
życząc Wam siły oraz spokoju ducha.

Redakcje „Tygodnika Solidarność” i portalu Tysol.pl,
a także pracownicy Fundacji Promocji Solidarności

eprasa.pl d791689b9e

Ukraina nie jest wrogiem

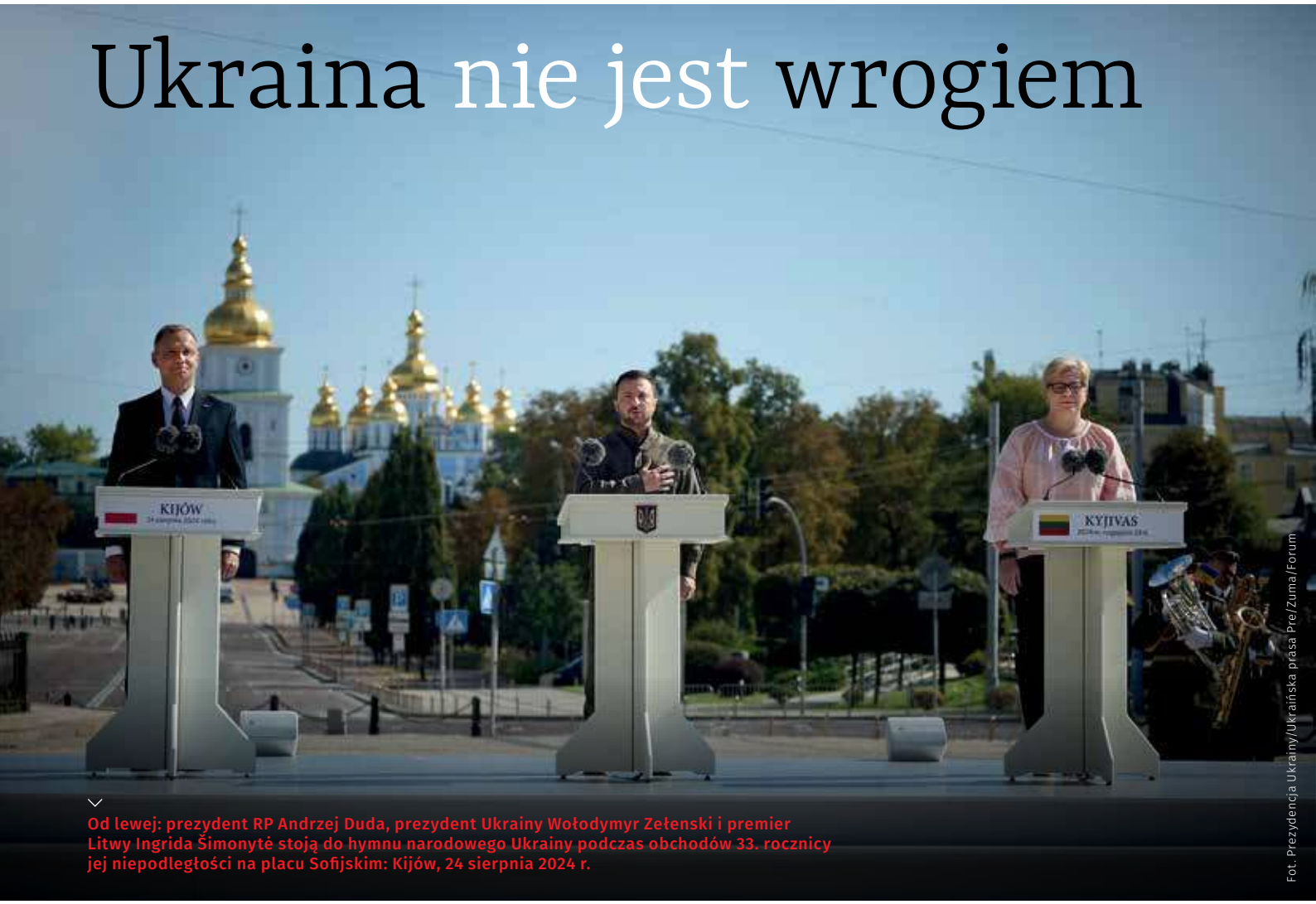

Od lewej: prezydent RP Andrzej Duda, prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski i premier Litwy Ingrida Šimonytė stoją do hymnu narodowego Ukrainy podczas obchodów 33. rocznicy jej niepodległości na placu Sofijskim: Kijów, 24 sierpnia 2024 r.

Fot. Prezydencja Ukrainy/Ukraińska prasa Pre/Zuma/Forum

Zbliżenie polsko-ukraińskie, ufundowane bardziej na wspólnej niechęci wobec Moskwy niż na prawdziwym poczuciu braterstwa i zgody, powoli wchodzi w fazę wyczerpania. Widać to coraz wyraźniej po tym, jak niektórzy gracze na rodzimej scenie partyjnej zaczynają wykorzystywać rosnące antagonizmy między oboma narodami. Polityczny kapitał nienawiści i lęku ma jednak charakter samozwrotny: z jednej strony opiera się na realnych problemach i odzwierciedla nastroje społeczne, z drugiej – **nadmiarowo podsyca emocje**, żerując na mitach, stereotypach i urojonych teoriach.

Ludwik Pęzioł

Zmuszanie kogokolwiek do miłości wobec Ukrainy czy Ukraińców, zwłaszcza w sytuacji, gdy nie wszystkie nasze interesy są zbieżne – to taktyka przynosząca skutki odwrotne do zamierzonych. Polacy, którzy popierają wsparcie dla Ukrainy, czynią to zwykle z przekonania, że utrzymanie niezależnego państwa ukraińskiego, będącego buforem między Polską a Rosją, leży w naszej racji stanu. Ukraina, nawet słaba i nie w pełni stabilna, spowalnia ekspansję wschodniego mocarstwa, które

eprasa.pl d791689b9e

od stuleci jest dla Polski źródłem zagrożenia. Z drugiej jednak strony trudno oczekiwać, że wszyscy będą odporni na emocje, które jedni politycy cynicznie rozpalają, a inni po prostu w sobie noszą. Dlatego tak ważne jest uczciwe przyjrzenie się punktom spornym i rozróżnienie, które z nich wynikają z realnej sprzeczności interesów, a które z nieporozumień czy propagandowych uproszczeń.

Banderyzm

Wołyńskie ludobójstwo na Polakach, niechęć Ukrainy do jednoznacznego rozliczenia się z tym faktem, kult postaci odpowiedzialnych za zbrodnie oraz bulwersujące protesty ukraińskiego MSZ przeciw nazywaniu tych wydarzeń po imieniu – wszystko to w oczach większości Polaków stanowi bolesny policzek. Trudno się dziwić negatywnym emocjom, zwłaszcza u tych, których rodziny doświadczyły tamtych tragedii osobiście. W tak fundamentalnej kwestii nie wolno akceptować relatywizowania win.

Nie jest jednak zdradą pamięci o ofiarach próba zrozumienia, jak współcześni Ukraińcy postrzegają OUN-UPA i ich „bohaterów". Warto w tym miejscu przyjąć dwa zdroworozsądkowe założenia. Po pierwsze – współcześni Ukraińcy w zdecydowanej większości nie żyją historią. Są zglobalizowani kulturowo i prywatnie zajmują ich podobne sprawy, co każde inne społeczeństwo europejskie. Fryzjerka czy manicurzystka, która uciekła do Polski przed wojną, nie ma w domu ołtarzyka ze Stepanem Banderą. Interesuje ją raczej los rodziny, praca, codzienność, nie zaś badanie dziejów sprzed osiemdziesięciu lat. Nie jest szowinistką, lecz osobą pragnącą żyć spokojnie, w dostatku, na podobnym poziomie jak jej rówieśniczki z Zachodu.

Po drugie – nawet dla tych Ukraińców, którzy darzą OUN-UPA pewnym szacunkiem, nie oznacza to poparcia dla antypolskich zbrodni. W ich oczach Bandera czy Szuchewycz to raczej symbole walki o niepodległość niż sprawcy masowych mordów na Polakach, które w tamtejszej narracji się pomija. To symbolika, która (z braku lepszego wspólnego mitu narodowego) wypełnia pustkę po dziesięcioleciach sowieckiej dominacji i staje się niezbędna jako źródło mocy do przetrwania narodu. Z naszej perspektywy w tych postaciach widzimy przede wszystkim zbrodnie, oni natomiast opór wobec Moskwy i walkę o wolność.

> NAWET DLA TYCH UKRAIŃCÓW, KTÓRZY DARZĄ OUN-UPA PEWNYM SZACUNKIEM, NIE OZNACZA TO POPARCIA DLA ANTYPOLSKICH ZBRODNI.

W antyukraińskiej propagandzie ten kontekst całkowicie się pomija. Zestawia się zdjęcia pomników UPA z obrazami ofiar Wołynia, tworząc wrażenie, że współczesny Ukrainiec tylko czeka, by powtórzyć tamte zbrodnie. To wręcz absurdalny zarzut wobec milionów zwykłych ludzi, którzy dziś marzą wyłącznie o świętym spokoju. Czy to oznacza, że Polacy nie powinni protestować przeciw kultowi Bandery? Oczywiście, że powinni. Pamięć o ofiarach Wołynia to obowiązek, a sprawcy muszą zostać nazwani po imieniu. Ale równie ważne jest, by nie mylić kultu symbolicznego i jego niepodległościowej percepcji przez naród ukraiński z realną wrogością wobec Polski.

Nienawiść

Jednym z najstarszych i najbardziej skutecznych sposobów wzbudzania niechęci (zwłaszcza dla politycznej korzyści) jest wmawianie społeczeństwu, że to „tamci drudzy" nas nienawidzą. Taka narracja ma prosty mechanizm – pozwala oczyścić własne sumienie. Bo o ile przyznać się do własnej nienawiści jest trudno – szczególnie w kulturze, która potępia ją jako emocję prymitywną – o tyle łatwiej uwierzyć, że to my tylko się „bronimy". Wówczas agresja nabiera pozoru moralnego uzasadnienia.

Tymczasem badania pokazują, że w relacji polsko-ukraińskiej to Polacy częściej żywią niechęć do Ukraińców niż odwrotnie. Według danych Instytutu Mieroszewskiego aż 38% Polaków deklaruje niechęć wobec Ukraińców, podczas gdy wśród Ukraińców negatywny stosunek do Polaków wyraża zaledwie 5%. To diametralna różnica. Owszem, w ostatnich latach nastroje na Ukrainie również nieco się ochłodziły: z powodu zmęczenia wojną, sporów o eksport zboża czy sporadycznych napięć dyplomatycznych. Ale charakter tej zmiany jest inny: z sympatii na neutralność, nie na wrogość. Innymi słowy, wdzięczność za polską pomoc okazała się dla Ukraińców czymś w rodzaju amortyzatora – czynnika, który osłabił spadek pozytywnych

eprasa.pl d791689b9e

emocji. Polacy takiego mechanizmu nie mieli.

To zróżnicowanie nastrojów potwierdzają także preferencje polityczne. Na Ukrainie ugrupowania posługujące się niekiedy antypolską retoryką znajdują się na granicy progu wyborczego, a partie jawnie radykalne mieszczą się w granicach błędu statystycznego. W Polsce natomiast formacje budujące swój przekaz na niechęci wobec Ukrainy: jak Konfederacja i partia Grzegorza Brauna mają poparcie wielokrotnie wyższe niż ich ukraińskie odpowiedniki.

Z tego zestawienia wyłania się obraz, który trudno zignorować: jeśli w tej relacji istnieje więcej emocji niechęci, to jest ona głównie po stronie Polaków. A jednak w debacie publicznej wciąż dominuje przekonanie, że to „oni nas nienawidzą", że „oni nas lekceważą" albo „plują nam w twarz". Warto więc zadać sobie pytanie, czy to nie przypadkiem my padamy ofiarą własnego mechanizmu obronnego: psychologicznej racjonalizacji nienawiści. Bo łatwiej jest wierzyć, że to druga strona kieruje się złymi intencjami, niż przyznać, że źródłem wrogości może być lęk, frustracja czy znużenie. Tak rodzi się błędne koło emocji: im bardziej wierzymy, że jesteśmy znienawidzeni, tym bardziej sami zaczynamy nienawidzić. I tym trudniej później wrócić do rozmowy o wspólnych interesach, które przecież nadal istnieją.

Wroga polityka

Nie ulega wątpliwości, że kraj znajdujący się pod groźbą zniewolenia, a nawet fizycznej anihilacji, chwyta się każdego dostępnego środka, by przetrwać. W historii świata nie było państwa, które w obliczu zagłady kierowało się „szlachetnością", jeśli ceną za to byłoby własne unicestwienie. Ukraina, walcząc o życie, próbowała w początkowej fazie wojny przenieść część napięcia poza swoje granice z czysto militarnej kalkulacji, by odciążyć własny front i osłabić agresora. Jakkolwiek brutalnie to brzmi, trudno byłoby oczekiwać, że Polska czy jakikolwiek inny kraj w podobnych warunkach postąpiłby inaczej.

Rolą państw NATO jest w takiej sytuacji zachować zimną krew i nie dać się wciągnąć w eskalację.

BADANIA POKAZUJĄ, ŻE W RELACJI POLSKO-UKRAIŃSKIEJ TO POLACY CZĘŚCIEJ ŻYWIĄ NIECHĘĆ DO UKRAIŃCÓW NIŻ ODWROTNIE.

I to zostało jasno i wielokrotnie zakomunikowane stronie ukraińskiej. Próby te, choć niepokojące w pierwszej fazie konfliktu, należy traktować więc nie jako akt wrogości wobec Polski, lecz jako przejaw twardej polityki: tego samego „realizmu", którego domagają się dziś od naszych przywódców „ukrainosceptycy". Rozlanie się wojny rzeczywiście byłoby Ukrainie na rękę, ale żywienie do niej o to pretensji byłoby naiwnością. Warto też zauważyć, że owe próby dawno już ustały.

Podobnie wygląda kwestia chwilowego zbliżenia Wołodymyra Zełenskiego z Niemcami. Przekonanie, że ukraińscy politycy w obliczu zagrożenia ich bytu państwowego mieliby zrezygnować z orientowania się na silniejszego partnera tylko z wdzięczności do Polski, jest przejawem tej samej dziecinnej naiwności. W sytuacji egzystencjalnego zagrożenia obowiązują inne reguły niż w warunkach pokoju. Wtedy wszystko ulega przewartościowaniu: z elegancją i kurtuazją z konieczności ustępuje instynktowi przetrwania. Wymaganie od Ukrainy naszych standardów dyplomatycznej ogłady, gdy ona walczy o biologiczne istnienie, jest więc kompletnym nieporozumieniem. Czy musi się nam to podobać? Oczywiście nie. Ale oburzać się na taki pragmatyzm to właśnie ulegać emocjonalności, z której wyśmiewają się ci sami „realistyczni" komentatorzy.

Podtrzymywanie, a często wręcz rozniecanie niechęci do Ukrainy staje się dziś zbyt atrakcyjnym kapitałem, by oczekiwać, że partie czy medialni influencerzy łatwo z niego zrezygnują. Warto jednak postawić sobie pytanie: czy w tej kalkulacji nie ginie gdzieś zasadniczy polski interes: osłabienie rosyjskiego imperium i inwestycja w nasze własne bezpieczeństwo? Jeśli tak, to znaczy, że resentyment lub żądza partykularnego zysku zaczyna przeważać nad politycznym rozsądkiem. A przecież umieszczanie bezpieczeństwa Polski niżej niż własne wyniki sondażowe czy liczby wyświetleń na YouTubie trudno uznać za postawę godną polskiego patrioty. Cóż, nawet jeśli niektórzy zdają sobie z tego sprawę, to mechanizm samooszustwa potrafi działać bezbłędnie – z czasem zaczynają wierzyć w to, co im się opłaca. Ale to już zwykła intelektualna nieuczciwość.

eprasa.pl d791689b9e

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Nie ma dobrej imigracji

Spór o to, czy imigracja ma być legalna, z jakiego kraju i kręgu kulturowego – pomija sedno problemu. Dla „tubylczych" pracowników każda imigracja jest szkodliwa.

GUS niedawno podał, że na koniec kwietnia (to najnowsze dostępne dane) pracę w Polsce wykonywało 1,07 mln cudzoziemców. To o 5,5% więcej niż rok wcześniej. Bezrobocie w ciągu roku wzrosło z poziomu 5 do 5,6%. Imigranci stanowią obecnie właśnie około 6% siły roboczej w Polsce. Łącznie w Polsce nie ma pracy ponad 800 tysięcy osób.

Trwa niewidziana od lat fala zwolnień grupowych. Likwidowany jest przemysł, głównie w sektorze energochłonnym. Mamy atak na sektor publiczny – Pocztę, PKP Cargo, elektrownie węglowe, górnictwo. Masowo tną etaty nawet w nowoczesnych usługach korporacyjno-biurowych.

Ubywa wolnych miejsc pracy i ofert zatrudnienia. Dłużej trwa szukanie pracy. Rosną problemy z jej znalezieniem. Bezrobocie wśród młodych wynosi ponad 13%. Przybywa powiatów z bezrobociem powyżej 10%. Maleje skala wzrostu płac. W tym czasie słyszymy, że „brakuje rąk do pracy". I że mamy ściągać imigrantów.

Rąk do pracy nie brakuje. Brakuje ich niekiedy tam, gdzie biznesowi jest wygodniej działać, zamiast inwestować w miejscach, gdzie są zasoby siły roboczej. Czasami brakuje rąk do pracy bardzo słabo wynagradzanej. Ale wolnych rąk do pracy mamy wciąż kilkaset tysięcy.

Takim ludziom imigracja szkodzi. Przyjezdni zmniejszają liczbę dostępnych miejsc pracy. Trudniej o zdobycie etatu. Ale fala imigracji szkodzi także już zatrudnionym. Trudniej im o utrzymanie etatu. Trudniej o wzrost płac i poprawę warunków zatrudnienia.

GUS podaje, że aż 38% przyjezdnych pracuje na umowie-zlecenie. Kogo wybierze zatrudniający? Pracownika rodzimego czy przyjezdnego, który godzi się na gorsze warunki, a z umowy-zlecenia można go zwolnić natychmiast?

Z napływu migrantów cieszą się kręgi biznesowe. Do chóru wywodów o „braku rąk" dołączają lewicowcy. Chcą jeszcze bardziej zwiększyć podaż imigranckiej pracy najemnej, czyli osłabić rodzimych pracowników.

Wielu współczesnych lewicowców pracuje w miejscach, którym imigracja nie zagraża. W mediach, na uczelniach, w „aktywizmie" za uznaniowo wręczane granty, w kumoterskim „sektorze kultury" itp. Mało kto z tego grona konkuruje z przyjezdnymi o zatrudnienie. To frazesy pięknoduchów.

Mówią oni, że trzeba dbać o prawa pracowników rodzimych oraz przyjezdnych. To mrzonka. Traktowanie rodzimych pracowników pozostawia wiele do życzenia od lat. W kraju słabości PIP, niskiego uzwiązkowienia, ofensywy liberałów. Jeszcze trudniej będzie o to przy zwiększonej liczbie chętnych na malejące zasoby miejsc pracy.

Każde zwiększenie podaży siły roboczej pogarsza sytuację pracowników. Im więcej biznes ma „chętnych na twoje miejsce", tym gorzej masz na rynku pracy.

eprasa.pl d791689b9e

Pogarda 2.0 i ostry cień mgły

Andrzej Duda, zwłaszcza w początkowym okresie swojej prezydentury, uznawany był za spadkobiercę prezydenta Lecha Kaczyńskiego, z którym współpracował i do którego dziedzictwa bardzo często się odwoływał. Charakterystyka polskiego rynku medialnego sprawiła, że gdy tylko zaczął ubiegać się w 2014 roku o najwyższy urząd w państwie, zaczął doświadczać **tego samego**, co jego nieżyjący poprzednik i autorytet – nieustającej nagonki.

Krzysztof Karnkowski

Rys. Adobe Stock

Czas pokazał, że nie wpłynęła ona na wysoką pozycję Dudy w rankingach popularności i nie zamknęła przed nim drogi do reelekcji. Jednak wskutek części decyzji również po prawej, macierzystej dla prezydenta, stronie jego wizerunek został mocno nadszarpnięty.

Zjawisko nazywane „przemysłem pogardy" ma w Polsce długą tradycję. Jego działaniu poddawano zarówno pojedyncze osoby, jak i całe partie czy grupy społeczne. Najlepiej zbadana i opisana jest historia ataków na Lecha Kaczyńskiego, której niesławną gwiazdą jest Janusz Palikot, dziś próbujący monetyzować swój pobyt w areszcie bankrut polityczny i biznesowy. Palikota dopadła przewrotna sprawiedliwość, jednak jego wpływ na debatę publiczną pozostał niestety nienaruszony. To polityk i biznesmen z Lublina próbował przedstawiać Lecha Kaczyńskiego jako alkoholika i, używając jego własnego określenia, „uderzyć w godnościowe fundamenty jego prezydentury". Duda nie miał swojego osobistego Palikota (choć ktoś odegrał podobną rolę w jego karierze, o czym poniżej), zmagał się jednak z wrogością tradycyjnych mediów i uzyskiwanych przez nie sprzężeniem zwrotnym z mediów społecznościowych.

Lobbysta SKOK-ów i budyń z soczkiem

Gdy ogłoszono kandydaturę Andrzeja Dudy na prezydenta jesienią 2014 roku, pierwsze medialne narracje podkreślały fakt, że jest on osobą szerzej nieznaną. Niektórzy komentatorzy, a nawet politycy, mylili kandydata PiS z szefem Solidarności Piotrem Dudą. Równocześnie gorączkowo szukano jakiejś niekorzystnej wizerunkowo sprawy, z którą można by skleić rosnącego w sondażach kandydata. I choć badania opinii publicznej usypiały dość długo czujność stronników ubiegającego się o reelekcję Bronisława Komorowskiego, media i politycy Platformy rozpoczęli pierwsze ataki na Dudę. Pretekstem stał się udział przyszłego prezydenta jako urzędnika w kancelarii Lecha Kaczyńskiego

eprasa.pl d791689b9e

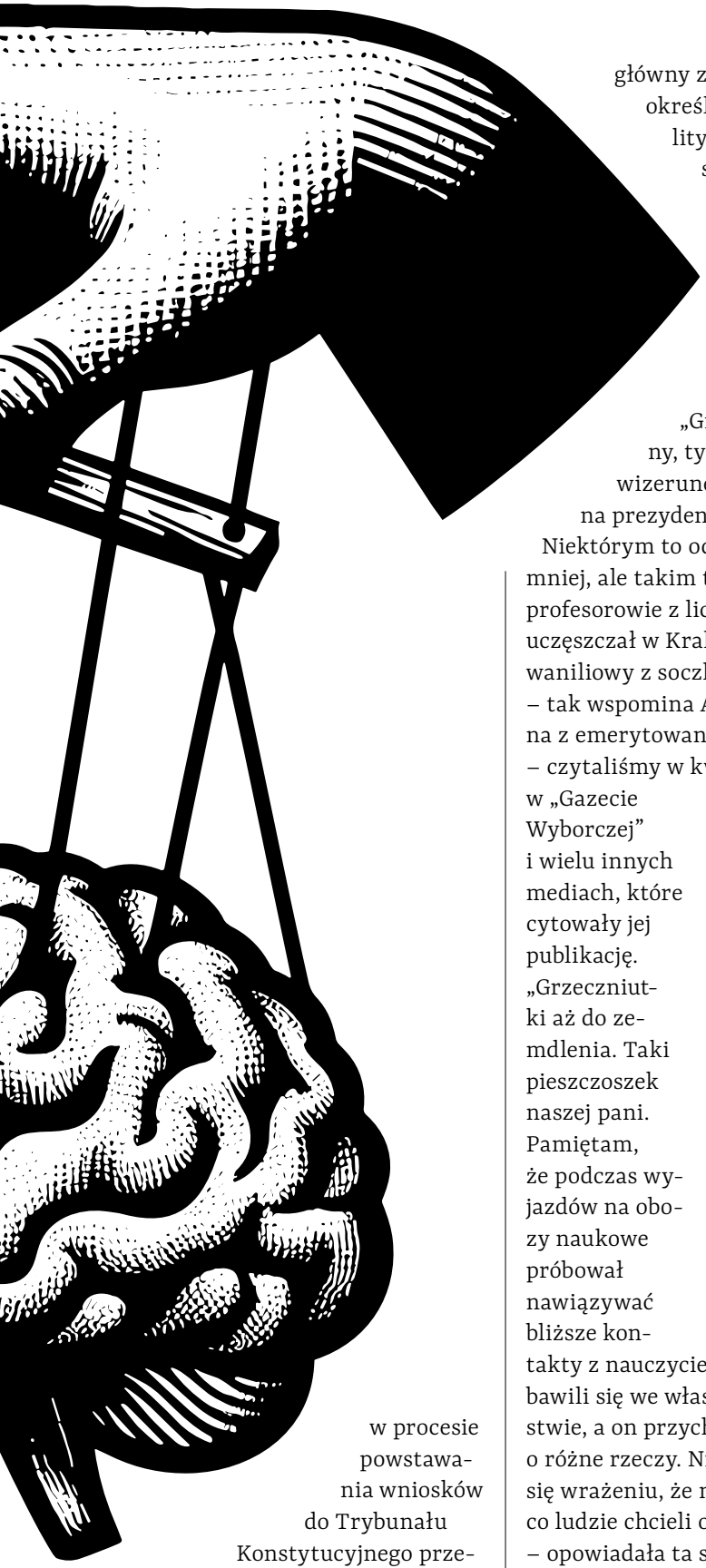

w procesie powstawania wniosków do Trybunału Konstytucyjnego przeciw objęciu SKOK-ów nadzorem KNF. Politycy Platformy zaczęli mówić nawet o „aferze Dudy", jednak główny zainteresowany określił zarzuty jako polityczne. Gdy nie udało się zrobić z Andrzeja Dudy aferzysty i czarnego charakteru, postanowiono obrzydzić jego wizerunek jako zbyt idealny. „Grzeczny, uładzony, typ prymusa. Taki wizerunek kandydata PiS na prezydenta wszyscy znamy. Niektórym to odpowiada, innym mniej, ale takim też zapamiętali go profesorowie z liceum, do którego uczęszczał w Krakowie. – Budyń waniliowy z soczkiem malinowym – tak wspomina Andrzeja Dudę jedna z emerytowanych nauczycielek" – czytaliśmy w kwietniu 2015 roku w „Gazecie Wyborczej" i wielu innych mediach, które cytowały jej publikację. „Grzeczniutki aż do zemdlenia. Taki pieszczoszek naszej pani. Pamiętam, że podczas wyjazdów na obozy naukowe próbował nawiązywać bliższe kontakty z nauczycielami. Rówieśnicy bawili się we własnym towarzystwie, a on przychodził, dopytywał o różne rzeczy. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że mówił zawsze to, co ludzie chcieli od niego usłyszeć" – opowiadała ta sama zapewne nauczycielka. Później w Dudę uderzano już z pomocą jego dawnych profesorów prawa, bardziej lojalnych wobec prawniczej korporacji niż własnego wychowanka. Wróćmy jednak do przedwyborczego kwietnia. „Wygląda więc na to, że nie każdemu pasuje otoczka, jaką przygotował Andrzej Duda. Pozostaje czekać, czy «kupią ją» ludzie podczas majowych wyborów prezydenckich" – zastanawiał się „Super Express". Gdy okazało się, że jednak „kupili", przyszła kolej na następne ataki.

GDY NIE UDAŁO SIĘ ZROBIĆ Z ANDRZEJA DUDY AFERZYSTY I CZARNEGO CHARAKTERU, POSTANOWIONO OBRZYDZIĆ JEGO WIZERUNEK JAKO ZBYT IDEALNY.

Ostatnia prosta

W maju, tuż przed pierwsza turą, Tomasz Lis w swoim programie cytował jako autentyczne wpisy zamieszczone na parodystycznym Twitterowym koncie, mającym przedstawiać córkę kandydata Kingę Dudę jako osobę niezbyt lotną, wpisującą się w stereotyp młodej, ładnej, lecz niezbyt inteligentnej blondynki. Sprawa odbiła się dużym echem zwłaszcza w mediach społecznościowych, kłamstwo (lub według korzystniejszej interpretacji zdarzeń – kompromitująca pomyłka) zostało sprostowane, a dziennikarz przeprosił polityka i jego rodzinę. W ostatnich dniach kampanii pojawił się też spot pokazujący, że Duda jako prezydent będzie tylko wykonawcą woli prezesa Jarosława Kaczyńskiego. „Kandydat Duda okazał się niezdolny do wypowiedzenia przez pół roku jednego zdania, które mogłoby się nie podobać jego pryncypałowi" – ostrzegał Tomasz Lis w „Newsweeku" przed drugą turą wyborów, ›

eprasa.pl d791689b9e

a na okładce tygodnika Jarosław Kaczyński ściągał z twarzy maskę przedstawiającą popieranego przez niego młodszego polityka. Do najpoważniejszego ataku doszło jednak już wtedy, gdy nowy lokator zasiadł w Pałacu Prezydenckim. „Andrzej Duda jako poseł podróżował na koszt Sejmu do Wielkopolski. Oficjalnie wykonywał tam obowiązki poselskie, w rzeczywistości wykładał na prywatnej uczelni. Zarobił kilkaset tysięcy złotych" – donosił ten sam tygodnik w sierpniu 2015 roku. Jednak i ten atak niczego nie zmienił, było już zresztą za późno. Dziennikarzy „Newsweeka" kosztował on brak miejsca na pokładzie prezydenckiego samolotu, a głowę państwa nie kosztował już nic.

Adrian z długopisem

W późniejszym okresie kluczowe okazały się jednak właśnie zarzuty o polityczną niesamodzielność, a według wielu opinii to również one miały pewien wpływ zarówno na popsucie się relacji między Andrzejem Dudą i Jarosławem Kaczyńskim, jak i na niektóre kontrowersyjne decyzje prezydenta. „Andrzej Duda nawet bez prezydentury może jednak w tych wyborach mówić o wyniku fenomenalnym. Jeszcze nigdy w najnowszej historii Polski kilkudziesięciu procent głosów nie zdobył człowiek pozbawiony osiągnięć, charyzmy i samodzielności" – pisał w przywołanym już felietonie Tomasz Lis. W styczniu 2017 roku w internecie pojawił się, robiąc wielką furorę, serial „Ucho Prezesa" przygotowywany przez Roberta Górskiego z Kabaretu Moralnego Niepokoju. W „Uchu" Andrzej Duda przedstawiony był jako „Adrian", wiecznie zabiegający o spotkania z prezesem PiS i lekceważony przez wszystkich prezydent-figurant, którego prawdziwego imienia nikt nawet nie pamięta. Porównanie Roberta Górskiego do Janusza Palikota byłoby z pewnością krzywdzące dla satyryka, jednak to właśnie jemu udało się „uderzyć w godnościowe podstawy" prezydentury Andrzeja Dudy – „Adrian" skleił się z jego wizerunkiem skutecznie i nieodwołalnie, a gdy w lipcu tego samego roku prezydent zawetował ustawy o KRS i Sądzie Najwyższym, „Adrianem" stał się również dla wielu swoich zwolenników, również takich, którzy w 2020 roku ponownie oddali na niego głos, choć już tylko jako na mniejsze zło. Popularne stały się też określenia „długopis" czy „notariusz", przeciwko czemu protestowali nawet przedstawiciele tego zawodu.

PORÓWNANIE ROBERTA GÓRSKIEGO DO JANUSZA PALIKOTA BYŁOBY Z PEWNOŚCIĄ KRZYWDZĄCE DLA SATYRYKA, JEDNAK TO WŁAŚNIE JEMU UDAŁO SIĘ „UDERZYĆ W GODNOŚCIOWE PODSTAWY" PREZYDENTURY ANDRZEJA DUDY.

Podział w rodzinie

Jeszcze w trakcie pierwszej kampanii prezydenckiej będący głównym narzędziem walki z Andrzejem Dudą „Newsweek" próbował wbić klin między kandydata a jego środowisko i wyborców, publikując specyficzny artykuł o pochodzeniu przyszłej pierwszej damy Agaty Kornhauser-Dudy, po którym wydawca musiał tłumaczyć się z zarzutów o antysemityzm. Po wyborach ta i kilka innych redakcji notorycznie wbijały klin między prezydenta a rodzinę jego żony, samą małżonkę krytykując za niezabieranie głosu w kluczowych sprawach, domyślnie – głosu sprzecznego ze stanowiskiem jej męża w takich tematach jak aborcja. Media z lubością nagłaśniały fakt, że rodzina Kornhauserów ma inne niż rodzina Dudów poglądy polityczne, bardzo chętnie też udostępniały swoje łamy młodszemu bratu pierwszej damy Jakubowi, mocno krytycznemu wobec polityki prezydenta. Jakub Kornhauser jako literaturoznawca i poeta miał tylko jedną szansę, by zaistnieć nawet na plotkarskich portalach, i skwapliwie ją wykorzystał. Choć jego wypowiedzi nie przekraczały pewnych granic, były w odpowiedni sposób podkręcane przez wydawców w tytułach takich jak „Brat Agaty Kornhauser-Dudy odcina się od pary prezydenckiej".

Pogarda 2.0

Prezydentura Andrzeja Dudy deprecjonowana była od pierwszego dnia. Nic więc dziwnego, że badający wcześniej kwestię „przemysłu pogardy" wobec Lecha Kaczyńskiego Sławomir Kmiecik jeszcze w 2015 roku opublikował książkę „Cel: Andrzej Duda. Przemysł pogardy kontra prezydent zmiany". „To są te same metody, te same techniki, te same kalki myślowe, którymi posługiwano się, atakując śp. prezydenta Kaczyńskiego. I robią to ci sami ludzie, te same środowiska. Można nawet powie-

eprasa.pl d791689b9e

dzieć, że jest to przemysł pogardy 2.0, a więc zasadniczo to samo, co poprzednio, ale w wersji ulepszonej, poprawionej, z innowacjami" – mówił w 2016 roku autor w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Kmiecik zwrócił przy tym uwagę na pominięty przeze mnie wątek najgorszej, oddolnej, lecz akceptowanej przez polityków nienawiści owocującej życzeniami śmierci, żartami o zbiórce na drugiego tupolewa itd., itp. Zjawisko narastało, znajdując akceptację salonów, również w drugiej kadencji prezydenta i poprzedzającej ją kampanii wyborczej. Związany z najradykalniejszymi sympatykami Platformy portal wieści24.pl nazywał na swoich łamach Dudę „tłustym odyńcem Kaczyńskiego". W listopadzie 2020 roku pisarz Jakub Żulczyk zamieścił na Twitterze komentarz o treści: „Joe Biden jest 46. prezydentem USA. Andrzej Duda jest debilem". Sprawą zajęła się prokuratura, oskarżającą Żulczyka o obrazę głowy państwa, jednak upolitycznione sądy umarzały sprawę. To z kolei skutkowało nie tylko masowym entuzjazmem zwolenników ówczesnej opozycji, lecz również modą na nazywanie prezydenta debilem w poczuciu całkowitej bezkarności. Na modzie tej postanowiła też zarobić związana z mediami Jana Pińskiego psycholog Aleksandra Sarna, która wydała niedawno poświęconą odchodzącemu prezydentowi książkę pod takim właśnie tytułem. Ten temat zostałby prawdopodobnie całkowicie zignorowany przez konserwatywne media, gdyby nie szokujące dla wielu odkrycie, że to między innymi spotkania autorskie Sarny w Londynie było finansowane z funduszy senackich, służących utrzymywaniu więzi Polonii z krajem.

Przyjazny ostrzał

Niektóre z posunięć prezydenta sprawiały, że tracił on wsparcie i łączność z własnym obozem politycznym, choć na ogół nie skutkowało to podchwyceniem narracji liberalnych wymierzonych w prezydenta. Jednak zawetowanie ustaw sądowniczych czy degradacji oficerów z czasów PRL naraziły prezydenta na wiele negatywnych komentarzy. Ale najostrzej został on potraktowany przez środowiska sceptyczne wobec skali pomocy udzielanej Ukrainie, dla których Duda stał się „sługą narodu ukraińskiego" czy też „najlepszym prezydentem Ukrainy". Również mniej radykalni w opiniach komentatorzy często dość ostro oceniali ten wymiar prezydentury, zwłaszcza po pogorszeniu się naszych relacji z Ukrainą mniej więcej w połowie 2023 roku.

Trzeba wreszcie wspomnieć o porażce zafundowanej sobie całkowicie na własne życzenie. W początkach pandemii COVID-19 kolejni artyści nagrywali krótkie rapowe utwory w ramach tzw. Hot 16 challenge 2 służące popularyzacji wsparcia dla lekarzy. Prezydent włączył się w tę akcję, nagrywając przegadany i zupełnie niezrozumiały utwór o walce z „ostrym cieniem mgły". Walka okazała być przegrana, cień mgły na długo zawisł nad jego wizerunkiem.

Andrzej Duda aż do końca swojej prezydentury pozostawał liderem rankingów zaufania do polityków. Gdy jeszcze większość komentatorów nie dawała Karolowi Nawrockiemu szans na zwycięstwo, wielu z nich stwierdzało, że największym problemem prawicy jest niemożność wystawienia do wyścigu Dudy po raz trzeci. Na pewno utrzymanie popularności przy takiej skali ataku było dużym osiągnięciem prezydenta i jego polityki częstych spotkań i rozmów z Polakami. Zarazem pokazało nam to również malejącą skuteczność przynajmniej części medialnych nagonek, co należy uznać za dobrą wiadomość.

UTRZYMANIE POPULARNOŚCI PRZY TAKIEJ SKALI ATAKU BYŁO DUŻYM OSIĄGNIĘCIEM PREZYDENTA I JEGO POLITYKI CZĘSTYCH SPOTKAŃ I ROZMÓW Z POLAKAMI.

KILKA REDAKCJI NOTORYCZNIE WBIJAŁO KLIN MIĘDZY PREZYDENTA A RODZINĘ JEGO ŻONY, SAMĄ MAŁŻONKĘ KRYTYKUJĄC ZA NIEZABIERANIE GŁOSU W KLUCZOWYCH SPRAWACH.

eprasa.pl d791689b9e

SOLIDARNOŚĆ na konwencji PiS

– Dialog zamieniał się w monolog za każdym razem, kiedy Tusk obejmował w Polsce władzę. Pan premier Donald Tusk przychodził i tylko nas informował, co ma zamiar zrobić. To nie jest dialog, to jest po prostu monolog. Dzisiaj wygląda to w sposób dramatyczny – mówił na konwencji PiS w Katowicach **Piotr Duda**.

Jakub Pacan

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl d791689b9e

Do wyborów parlamentarnych dwa lata, ale partie polityczne zainicjowały – jeszcze nieoficjalną – kampanię wyborczą. 24 i 25 października odbyła się konwencja programowa PiS w Katowicach. Wśród 132 paneli, dyskusji i prezentacji ważne miejsce poświęcono sprawom społecznym i roli związków zawodowych w kwestii polityki społecznej, rynku pracy czy społecznej gospodarki rynkowej.

NSZZ „Solidarność" miał w tym wydarzeniu ważne miejsce i liczną delegację. W panelu pt. „Rola dialogu społecznego w kształtowaniu społeczeństwa obywatelskiego" wzięli udział: Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", jego zastępca Maciej Kłosiński oraz Bożena Borys-Szopa i Stanisław Szwed. Panel poprowadził Rafał Woś, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność".

MICHAŁ OSSOWSKI WSKAZAŁ, ŻE MOMENT NA TĘ ROZMOWĘ JEST WYJĄTKOWO DOBRY, BO SEJM WŁAŚNIE PRZYJĄŁ USTAWĘ O UKŁADACH ZBIOROWYCH PRACY, BĘDĄCĄ IMPLEMENTACJĄ ART. 4 UNIJNEJ DYREKTYWY O ADEKWATNYCH WYNAGRODZENIACH MINIMALNYCH I ROKOWANIACH ZBIOROWYCH.

Dialog społeczny to filar

Przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotr Duda podziękował organizatorom konwencji PiS za możliwość zorganizowania w ramach tego wydarzenia panelu dyskusyjnego Solidarności poświęconego dialogowi społecznemu. – Dla nas to bardzo ważne, bo dialog społeczny dla związkowca to chleb powszedni. Ale to także bardzo ważny element rozwoju gospodarczego każdego kraju, to jest pewien fundament. Kwestie, nad którymi debatowano w ramach kongresu Prawa i Sprawiedliwości dotyczące obronności, Zielonego Ładu, gospodarki etc., są niezwykle ważne, ale żeby wcielić je w życie po ewentualnym objęciu władzy przez PiS, konieczny będzie skuteczny dialog społeczny. Bez dialogu żadna reforma w naszym kraju się nie udała. Dialog społeczny w naszym kraju to jeden z filarów, a właściwie fundament naszego ustroju – mówił szef Solidarności, wskazując w tym kontekście na treść artykułu 20 polskiej konstytucji.

Piotr Duda przypomniał, że 15 października odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Dialogu Społecznego pod przewodnictwem prezydenta Karola Nawrockiego. – 15 października powiedział piękne słowa, że nawet komuniści zostali zmuszeni do tego, aby usiąść do stołu i rozmawiać w 1980 roku. Wiadomo w konsekwencji, że był to dialog fałszywy, ale do stołu wówczas jednak usiedli. Podpisali porozumienia w Gdańsku, w Szczecinie, w Jastrzębiu, w Katowicach, w Świdniku i w wielu innych miastach – przypomniał Piotr Duda.

Szef Solidarności stwierdził, że dialog społeczny pod rządami premiera Donalda Tuska przestał de facto istnieć. – Dialog zamieniał się w monolog za każdym razem, kiedy Tusk obejmował w Polsce władzę. Pan premier Donald Tusk przychodził i tylko nas informował, co ma zamiar zrobić. To nie jest dialog, to jest po prostu monolog. Dzisiaj wygląda to w sposób dramatyczny – tłumaczył.

– Na pierwsze posiedzenie RDS-u po objęciu władzy przez Donalda Tuska w 2024 roku na 15 ministrów konstytucyjnych na spotkanie nie przyszedł żaden. Nie mogliśmy przeprowadzić posiedzenia plenarnego RDS-u, odbyło się jedynie autonomiczne spotkanie pracodawców i związków zawodowych. A rozmawialiśmy na bardzo ważne tematy dotyczące Zielonego Ładu i sytuacji w polskim hutnictwie. Premier Tusk ma czas na wiele innych spotkań, a nie ma go na spotkanie z Radą Dialogu Społecznego, czyli z reprezentatywnymi organizacjami związków zawodowych i pracodawców. O czym to świadczy? Świadczy o tym, że zostaje nam ulica – mówił Piotr Duda i przypomniał czasy poprzednich rządów Donalda Tuska, kiedy „każde spotkanie z jakimkolwiek ministrem poprzedzone było pikietą, strajkiem czy manifestacją".

– Tak to nie może wyglądać. Jeżeli strona związkowa chce spotkać się z danym ministrem i jeśli wystosowuje w tej sprawie odpowiednie pismo, czy prosi o to przewodniczącego Rady Dialogu Społecznego, to wówczas spotykamy się i rozmawiamy. Po to mamy to narzędzie, dobre narzędzie, żeby z niego korzystać – spuentował szef Solidarności.

Układy zbiorowe

Spotkanie poświęcone wprowadzaniu aktywnej polityki państwa promującej zbiorowe układy pracy, w którym wzięli udział Andrzej Kuchta, Bartłomiej Mickiewicz, Jan Mosiński

eprasa.pl d791689b9e

i Urszula Rusecka, poprowadził Michał Ossowski, redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność”.

Michał Ossowski wskazał, że moment na tę rozmowę jest wyjątkowo dobry, bo Sejm właśnie przyjął ustawę o układach zbiorowych pracy, będącą implementacją art. 4 unijnej dyrektywy o adekwatnych wynagrodzeniach minimalnych i rokowaniach zbiorowych.

– Sama ustawa nie wystarczy. Potrzebne są konkretne działania, aby nie stała się martwym przepisem, zwłaszcza że startujemy z bardzo niskiego poziomu – zaledwie 14% pracowników objętych układami zbiorowymi – tłumaczył redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność”.

– Wolne niedziele? Skrócony tydzień pracy? To wszystko można uregulować w układach zbiorowych pracy – bez ingerencji centralnej, bez programów testowych, które i tak często kończą się absurdalnymi decyzjami, jak przekazywanie środków instytucjom rządowym zamiast firmom – mówił Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Bartłomiej Mickiewicz zaznaczył, że idea układów zbiorowych to kwintesencja demokracji – rozmowa między stroną społeczną a pracodawcą. – To wolność i współpraca w praktyce. Zamiast narzucać rozwiązania z góry, pozwólmy, by ludzie na dole dogadywali się sami. To jest prawdziwy dialog społeczny – tłumaczył.

Na pytanie Michała Ossowskiego, czego potrzeba, by zwiększyć zasięg układów zbiorowych, Andrzej Kuchta, przewodniczący Solidarności w PZL „Świdnik”, odpowiedział: – Potrzeba chęci dialogu. To by wystarczyło. Wielu pracowników wciąż uważa, że regulamin wynagradzania to wystarczające rozwiązanie. Potrzeba edukacji, kampanii informacyjnych, poradników, wsparcia prawnego – zarówno dla związków zawodowych, jak i dla małych pracodawców. Może warto pomyśleć o edukacji o prawie pracy już w szkołach średnich, by młodzi ludzie wiedzieli, czym są związki zawodowe i układy zbiorowe – mówił.

> ***Dialog społeczny dla związkowca to chleb powszedni. Ale to także bardzo ważny element rozwoju gospodarczego każdego kraju, to jest pewien fundament.***
>
> **PIOTR DUDA**

Poseł Jan Mosiński z PiS zwrócił uwagę na szerszy wymiar układów zbiorowych – ich wpływ na stabilność społeczną i rodzinną. – Musimy patrzeć na pracownika jako na dobro, a nie koszt. Układy zbiorowe mogą dać poczucie bezpieczeństwa i stabilności, które przekłada się nawet na decyzje rodzinne i demografię. Ojciec, który ma stabilną pracę, łatwiej zdecyduje się na dzieci. Układy zbiorowe to esencja stabilności państwa. To one mogą stać się narzędziem odbudowy zaufania między pracodawcami, pracownikami i rządem – mówił.

> ***Musimy patrzeć na pracownika jako na dobro, a nie koszt. Układy zbiorowe mogą dać poczucie bezpieczeństwa i stabilności, które przekłada się nawet na decyzje rodzinne i demografię.***
>
> **JAN MOSIŃSKI**

Posłanka Urszula Rusecka (PiS) zwróciła uwagę, że układy zbiorowe nie są zrozumiałe dla wielu obywateli, a ich nazewnictwo wydaje się techniczne. Tymczasem to fundament relacji człowiek – praca. – Silny pracownik i silny pracodawca to nie konkurencja, tylko współdziałanie. Układy zbiorowe dają równość, sprawiedliwość i stabilność – zarówno gospodarczą, jak i społeczną – mówiła.

Rusecka zaproponowała, by w programie Prawa i Sprawiedliwości znalazły się zapisy promujące układy zbiorowe, w tym m.in. ulgi podatkowe czy granty dla przedsiębiorców, którzy je zawierają. – Być może warto przygotować gotowy wzór uproszczonego układu zbiorowego, którym mogliby posługiwać się pracodawcy. Potrzebna jest edukacja, ale i realne zachęty – dodała.

W dalszej części dyskusji Michał Ossowski zapytał Bartłomieja Mickiewicza o problem podwójnych standardów w firmach międzynarodowych działających w Polsce. – Fabryka w Düsseldorfie, fabryka w Czechach i fabryka w Polsce – ta sama marka, ten sam produkt, te same kwalifikacje, a pensje cztery razy niższe. Gdzie tu równość europejska? – pytał retorycznie Bartłomiej Mickiewicz.

O układach zbiorowych pracy rozmawiano również w kontekście klauzul społecznych przy przetargach. – Układy zbiorowe mogą być jednym z filarów prawdziwego dialogu społecznego – opartego na zaufaniu, odpowiedzialności i wzajemnym poszanowaniu – podkreślił Michał Ossowski, podsumowując dyskusję.

eprasa.pl d791689b9e

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Rozwód szybki, rząd powolny

Jan Wróbel

Nawyk nieszkodliwy dla ludzi i zwierząt: czytanie. Łapię się nieraz na światłej myśli, że wzorem red. Tomkowicza, autora m.in. podcastu „Gdzieś to już słyszałem", powinienem prowadzić cykl: „Gdzieś to już czytałem". Z jakimś fajnym dżinglem; marzy mi się kawałek „Roty" na fujarkach.

Jacek Tomkowicz zestawia ze sobą popularne przeboje i z brutalnością łagodzoną uśmiechem udowadnia, że kolejne hity to nic innego jak utwory sprzed lat – i podawane jako nówka bez chociażby cienia zażenowania. W polskiej polityce udawanie, że wczoraj nie istnieje, to standard.

Na przykład sprawa szybkich rozwodów.

Czytałem niedawno wypowiedź samego ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka: „Prace nad zmianami w Kodeksie rodzinnym są już mocno zaawansowane". A dalej, że resort właśnie rozpoczyna poważne reformy prawa rodzinnego. Jednym z fundamentów reformy będzie uproszczenie procedur rozwodowych. Choć szczegóły projektu nie zostały jeszcze przedstawione, kierunek zmian jest już wyznaczony. Do roboty!

Ciekawe, gdzie się po drodze zgubiły szczegóły projektu, ponieważ („Fiu, fiu, gdzieś to już słyszałem...") zostały one opracowane i ogłoszone już w maju. Komisja Kodyfikacyjna Prawa Rodzinnego przyjęła wtedy, po dyskusji, projekt nowelizacji Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego wprowadzający ścieżkę pozasądowego rozwodu, czyli przed kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego, już w początkach tego słonecznego miesiąca. Mamy teraz październik. I słońce znowu zaświeciło. Energiczne rozpoczęcie prac, wyznaczenie kierunku, nadzieja na lepszą, a w każdym razie szybszą, przyszłość.

Co będzie w lutym? Zgodnie z doktryną, że nad uśmiechniętą Polską słońce świeci cały rok, minister sprawiedliwości – niewykluczone, że nowy, a może nawet sam premier – niewykluczone, że nowy, zorganizuje konferencję prasową. I wiemy, co zostanie ogłoszone: rząd pracuje obecnie, energicznie, nad opracowaniem nowatorskiego projektu reform w prawie rozwodowym, na który czeka naród. Otóż prawo to zostanie uproszczone! Jeszcze tylko dopracujemy kilka szczegółów, nie szczędząc pracy, aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej – no i szybko rozwiedzeni.

Nie wiem, czy to projekt naprawdę dobry; było nie było konstytucja zakłada „ochronę rodziny", a sądowa procedura rozwiązywania małżeństwa ma utrudniać pochopność decyzji. Zarazem projekt (majowy! podobnie jak październikowy i ten, który przewidywany jest na luty) zakłada rozsądne ograniczenia szybkiej pozasądowej ścieżki. Dzieci muszą być już pełnoletnie, obie strony pragną zakończenia związku bez finansowych rozstrzygnięć w sądzie, małżeństwo ma trwać dłużej niż rok. Dorośli ludzie chcą czegoś wspólnie, cóż państwu do tego? To nawet ciekawy temat do rozważań i, na koniec, decyzji. A dlaczego Ameryka musi być na nowo odkrywana co jakiś czas, to już zupełnie inna historia.

W POLSKIEJ POLITYCE UDAWANIE, ŻE WCZORAJ NIE ISTNIEJE, TO STANDARD.

eprasa.pl d791689b9e

Żurek na ostro: zamknąć PiS i przejąć sądy

Zanosi się na **wojnę totalną**. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek ma mieć gotowy scenariusz „prawnego" puczu, który zakłada wyrzucenie tysięcy sędziów, omijając przy tym prezydenckie weto, a także plan „wielkich" aresztowań. Lista polityków opozycji do „zamknięcia" ma być imponująca.

Andrzej Gajcy

Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek nie marnuje czasu. Od momentu kiedy w lipcu br. przejął kierowanie zarówno resortem, jak i prokuraturą, to on, a nie stonowany Adam Bodnar, stał się twarzą polityki rozliczeń. Wielu w dzisiejszym obozie władzy widzi w nim wręcz uosobienie zemsty, „mściciela Donalda Tuska" gotowego – niczym filmowy

Fot. Adam Chelstowski / Forum

eprasa.pl d791689b9e

„sędzia Dredd", czyli postać „ulicznego sędziego" – do natychmiastowych aresztowań, skazywania i wykonywania wyroków, za lata bezprawia i niesprawiedliwości, za które uważane są ośmioletnie rządy Zjednoczonej Prawicy.

To porównanie dotyczy sposobu, w jaki Żurek obchodzi się z konstytucją i ustawami, wybiórczo i z pełną premedytacją dobiera paragrafy, zastraszając aktami oskarżenia. Są tacy, którzy mówią wprost: Żurek robi to, czego nie był w stanie zrobić Bodnar. Poprzedni minister, choć za nic miał obowiązujące ustawy i konstytucję, a za praworządne uznawał to, co sam uważał za praworządne, to jednak nie chciał stawiać zarzutów i zamykać do aresztów polityków dzisiejszej opozycji. Nie był gotowy na przekroczenie tego rubikonu. Z Żurkiem ma być zupełnie inaczej.

Misja specjalna od Tuska

Plotka niesie, że od samego szefa rządu Donalda Tuska otrzymał specjalną misję: postawić jak najwięcej zarzutów, a jak się da, to przeprowadzić sprawnie i widowiskowo zatrzymania najważniejszych polityków poprzedniego rządu. Cel? Uchylenie immunitetów, postawienie w stan oskarżenia i osadzenie na wiele miesięcy w tymczasowych aresztach. Przy jednoczesnym dokonaniu totalnej czystki w wymiarze sprawiedliwości. Nie oglądając się przy tym na prezydenta Karola Nawrockiego i jego weto.

Szef rządu zresztą nie kryje satysfakcji z dotychczasowych poczynań swojego ministra. Dzień po przedstawieniu wniosku o odebranie immunitetu Zbigniewowi Ziobrze i sformułowaniu przez śledczych aż 26 zarzutów, w tym o stworzenie i kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą w resorcie sprawiedliwości, premier puszcza oko w nagraniu w sieci: „Niezły ten żurek, co? I będzie też drugie danie i deser".

Co ma konkretnie na myśli Donald Tusk? Bo przecież nie chodzi mu o menu w bufecie rządowym. Nie jest tajemnicą, że specjalny zespół prokuratorski raportujący bezpośrednio ministrowi Żurkowi pracuje ostatnio w pocie czoła. I to z widowiskowym wręcz efektem. Wystarczy przywołać spektakularne zabezpieczenie przez prokuraturę majątku byłego wiceministra sprawiedliwości Michała Wosia na kwotę bagatela 25 milionów złotych w związku ze śledztwem dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości. W tej sprawie akt oskarżenia usłyszał chwilę potem także inny poseł PiS Dariusz Matecki. Albo zatrzymanie innego wiceministra w rządzie Mateusza Morawieckiego Pawła M. w związku z aferą wokół Rządowej Agencji Rezerw Materiałowych, okraszonego wpisem ministra Żurka w sieci o treści: „Po nitce do kłębka".

Na jej szczycie jest nazwisko Zbigniewa Ziobry. Lecz to nie Ziobro, mimo swojej prominentnej roli, ma być tym „daniem głównym". Kto zatem? Może sam prezes PiS Jarosław Kaczyński lub były premier Mateusz Morawiecki? A może były prezydent Andrzej Duda?

Niektórzy rozmówcy przyznają anonimowo: jeśli przyjmiemy wykładnię ministra Żurka, że całe rządy Prawa i Sprawiedliwości, wspierane przez prezydenta, były zorganizowaną grupą przestępczą, to naprawdę nietrudno sobie wyobrazić taki akt oskarżenia wobec samego Kaczyńskiego, Morawieckiego czy Dudy. Bo czemuż by nie? Taki zarzut – odzwierciedlający logikę prokuratorską – byłby logiczną konsekwencją przyjętych założeń. A przy tym medialną petardą, której tak bardzo obecny obóz władzy potrzebuje.

USTAWA PRAWORZĄDNOŚCIOWA MA BYĆ REMEDIUM NA KOŃCZĄCĄ SIĘ W 2026 ROKU KADENCJĘ CZŁONKÓW KRS I ROZPRAWIENIE SIĘ ZE ZMIANAMI, KTÓRE DO SĄDOWNICTWA WPROWADZIŁ RZĄD PiS-u.

Kto jest „daniem głównym" na liście aresztowań?

Ale to tylko przystawki – słychać w kręgach władzy. Według jednej z hipotez, która staje się coraz bardziej popularna w kręgach władzy, w ciągu najbliższych tygodni śledczy mają skierować kilka głośnych wniosków o uchylenie immunitetu i postawić w sumie kilkadziesiąt zarzutów kilku ważnym politykom PiS. Na liście „Żurka" znajdować się mają czołowi dzisiaj politycy opozycji, zajmujący w rządzie Zjednoczonej Prawicy najważniejsze funkcje w państwie.

Żurek nie cofnie się przed niczym

Osoby znające Waldemara Żurka mówią wprost: on nie cofnie się przed niczym. Według tej hipotezy jego celem ma być pozamykanie polityków PiS w aresztach na długie miesiące, nawet jeśli na końcu sądy orzekną, że dowody były niewystarczające.

Sam Żurek pytany publicznie, czy obawia się o swoją przyszłość, mówi szczerze i przerażająco: „Jestem wyzbyty lęku". I przytacza historię o pradziadku, który zginął na wojnie z bolszewikami, o dziadku w obozie

eprasa.pl d791689b9e

czy rodzicach należących do Solidarności. By dać do zrozumienia jasno, że nie interesuje go jego własny los, a dla przywrócenia praworządności jest gotowy na najwyższe poświęcenie. To absolutnie śmiertelnie poważne wyznanie czyni go doskonałym sędzią nad wszystkimi „wrogami" dzisiejszej władzy, gotowym posunąć się znacznie dalej niż głośne aresztowanie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika w 2023 roku w Pałacu Prezydenckim.

„Pucz prawny" czy plan B?

Jest także i druga hipoteza. Rola Żurka ma nie kończyć się na pakowaniu polityków PiS do aresztów. Drugim, i być może ważniejszym, celem, który sam miał sobie postawić, a Donald Tusk mu w tym przyklasnął, jest rozprawienie się z tzw. neosędziami – ponad 2,5 tys. sędziami powołanymi z udziałem Krajowej Rady Sądownictwa ukształtowanej po 2018 roku, których publicznie nazywa „paserami konstytucji". Dla Żurka wszyscy oni nigdy nie zostali sędziami i nie chroni ich immunitet, choć zostali mianowani zgodnie z konstytucją przez prezydenta RP.

Receptą ma być tzw. ustawa praworządnościowa, która lada moment trafi pod obrady Sejmu. Ustawa ma być remedium na kończącą się w 2026 roku kadencję obecnych członków KRS i rozprawienie się ze zmianami, które do sądownictwa wprowadził rząd PiS-u. Jednak szans na jej wejście w życie nie dostrzegają nawet politycy koalicji rządowej mający świadomość prezydenckiego weta. Prezydent Karol Nawrocki nigdy jej nie podpisze. To pewne.

Żurek tym się niespecjalnie przejmuje, bo ma „plan B". Niektórzy wręcz twierdzą, że ministrowi sprawiedliwości nie zależy wcale na przyjęciu ustawy, która już uchodzi w kręgach rządowych za „nieprzyjmowaną". Zatem o co?

Hipoteza jest szokująca: o wywołanie medialnej lawiny, aby przekonywać, jacy to źli są neosędziowie i że należałoby ich nie tylko odwołać, ale i pozamykać – a i tak okazuje się im litość. Politycznie jednak chodzić ma o postawienie samego prezydenta Karola Nawrockiego pod ogromną presją i przetestowanie jego odporności na blef w postaci: cóż szkodzi nie uznać weta prezydenta? To byłaby opcja atomowa i kompletny odlot, który można by przyrównać jedynie do puczu prawnego, ze skutkami trudnymi do wyobrażenia.

Bardziej realny wydaje się w związku z tym plan B: obejście prezydenta z flanki. Minister Żurek zresztą już to zapowiada: „Należy stworzyć takie oprzyrządowanie, które nie będzie ustawą, jeśli prezydent nie podpisze mojego pomysłu, który przejdzie przez parlament".

Model, na który stawia Żurek i który ma akceptację Brukseli, co można wyczytać między wierszami, to wariant hiszpański: sędziowie sami wybierają listę kandydatów, a parlament zatwierdza tę listę, nie dokonując wyboru. „Jeśli wybierzemy taki wariant, to obronimy to w sądach europejskich, powiemy: «Tak sędziowie wybrali swoją część. Nie mieliśmy współpracy z prezydentem, pokazaliśmy projekty»" – tłumaczył w mediach Żurek.

To rozwiązanie oznacza całkowite pominięcie konstytucyjnej prerogatywy prezydenta RP wynikającej z art. 179: Sędziowie są powoływani przez prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa na czas nieoznaczony. I co fundamentalne: są nieusuwani.

Na ten moment ani prezydent Nawrocki, ani jego ministrowie nie mają gotowej recepty na ten trik. I muszą ją szybko znaleźć. Bo jeśli Żurkowi uda się wygrać tę bitwę, to nie tylko zada poważny cios głowie państwa, osłabiając Nawrockiego, kto wie, czy nie na całą dalszą jego prezydenturę. Ale przeprowadzi de facto skuteczny zamach na konstytucję i całą władzę sądowniczą, by móc pod pozorem przywracania praworządności ręcznie sterować już nie tylko prokuratorami, których jest formalnym zwiernikiem, ale i sędziami wydającymi wyroki.

Michale,
z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci Twojego

Teścia

W tym trudnym czasie
składamy najszczersze kondolencje
Tobie i całej Twojej Rodzinie.

Z wyrazami żalu i wsparcia

Marta Kiereś i Karol Wagner
wraz z zespołem DOMS sp. z o.o.

eprasa.pl d791689b9e

Piotr Skwieciński

Putin, czyli narzędzie

Disclaimer: będzie momentami dość emocjonalnie i osobiście. Czyli niezbyt typowo dla mnie, bo przyzwyczaiłem Czytelnika do czegoś na kształt niegdysiejszego anglosaskiego chłodu. Ale czasem się człowiekowi ulewa. Tu koniec disclaimera.

Putin naprawdę się przydaje. Gdyby go nie było, to należałoby go wymyślić.

Powyższe nasuwa się chyba każdemu, kto obserwuje działalność tzw. postępowych liberałów, przy czym i na Zachodzie, i w Polsce. Bardzo wyraźnie w pewnym momencie wydało im się, że przy pomocy Putina złapali Pana Boga za nogi. Czyli – że histerycznym szantażem moralnym, za pomocą argumentu „Aha! Czyli chcesz tego samego, co Putin!" potrafią wymusić wszystko na wszystkich.

W wersji klinicznie czystej wygląda to tak (naprawdę bez złośliwości oddaję tu przykład argumentacji, z którą się zetknąłem): „Ponieważ: 1) patriarcha Kirył jest bardzo złym człowiekiem i 2) patriarcha Kirył jest przeciwnikiem małżeństw homoseksualnych – to logiczny wniosek jest taki, że powinniśmy być za małżeństwami homoseksualnymi. A jak ktoś dotąd nie był, to niech się zastanowi nad zmianą stanowiska".

Prawda, jakie to proste i przekonujące?

Wracając do tonu poważnego: ja się oczywiście kategorycznie nie zgadzam na taką logikę. Nawet wykrzyczenie tysiąc razy nazwiska „Putin" i rzeczownika „onuce" tego nie zmieni. I nie mam zamiaru się cenzurować, „żeby nie dać żeru wrogowi", do czego niektórzy usiłują, wykorzystując rosyjską agresję, przymuszać (notabene „żeby nie dać żeru wrogowi", „żeby się wrogowie nie dowiedzieli" – to były żądania, stale powtarzane w narracji wewnątrzradzieckiej wobec dysydentów, na których próbowano wymóc, żeby siedzieli cicho). Obrona przed rosyjskim imperializmem jest czymś niesłychanie ważnym, ale nie jedynie ważnym. To, że kremlowscy politechnolodzy uznali, że spozycjonują się jako obrońcy tradycyjnego kształtu świata, jeszcze nie unieważnia całego konfliktu cywilizacyjnego. Naprawdę nie jest argumentem na rzecz tezy, że na złość Putinowi trzeba pokochać eksperymenty genderowe, wszechwładzę eurokratów z Brukseli, kwoty dla kobiet, mniejszości rasowych i seksualnych w radach nadzorczych, masową imigrację i Zielony Ład.

Moralni szantażyści wymyślili sobie, że radośnie położymy głowę pod gilotynę tylko dlatego, że następny w kolejce pod ten sam nóż ma być – podobno – Putin. No więc nie położymy, przynajmniej ja nie położę.

Czyli idąc od ogółu do konkretu: konieczność przeciwdziałania rosyjskiej agresji nie skłoni mnie do poparcia rządowego projektu ustawy o walce z dezinformacją. Bo widzę, że pod pozorem walki z generowanymi z Moskwy fakenewsami daje on rządzącym narzędzie do nieskrępowanego zakazywania wszelkich treści, z którymi się nie zgadzają, i do represjonowania niewygodnych im poglądów. A możliwość zaskarżania takich działań administracji do sądu nie jest rozwiązaniem – bo, niezależnie już od politycznego skrzywienia sędziów oznacza zwłokę, która w dzisiejszej przestrzeni informacyjnej jest zabójcza.

Co oczywiście nie znaczy, że zagrożenie rosyjską dezinformacją nie istnieje. Ale walka z nim, by być skuteczna, musiałaby być ponadpartyjna – przecież nikt w obecnej Polsce nie udzieli nielubianej przez siebie stronie politycznego sporu najmniejszego kredytu zaufania.

Karol Nawrocki zasugerował, że zawetuje rządowy projekt. Zgadzam się z prezydentem. Sądzę jednak, że byłoby najlepiej, gdyby w ślad za wetem poszedł jego kontrprojekt, tworzący mechanizm walki z dezinformacją, ale ponadpartyjny. Na przykład – ustanawiający mający zajmować się tym urząd, którego kierownictwo musiałoby być powoływane przez parlament taką większością głosów, która wymuszałaby kompromis. I uniemożliwiałaby, iż stanie się on zbrojnym ramieniem którejś ze stron.

To możliwe? Teoretycznie tak. Ale czy możliwe w Polsce?

Bardzo chciałbym być optymistą.

eprasa.pl d791689b9e

Obowiązek wojskowy nie powinien obejmować kobiet

Odkąd premier Donald Tusk zapowiedział powszechną mobilizację w zakresie szkolenia wojskowego dla mężczyzn, pojawiły się też opinie, według których należy się wycofać z tego pomysłu całkowicie albo uwzględnić w nim kobiety. Tak, aby albo obie płcie obowiązkowo przechodziły przez pierwszy, najbardziej podstawowy szczebel wojskowy – albo żadna. Tymczasem istnieją **dwa poważne powody**, przez które nie należy nakładać na kobiety obowiązku wojskowego. I nie dotyczą one mężczyzn.

Łukasz Sakowski

Istnieją dwa zasadnicze argumenty przeciwko powoływaniu kobiet do wojska. I nie chodzi bynajmniej o wykluczanie ich z armii, lecz o nie wprowadzanie programu obowiązkowego lub konkurencyjnie zachęcającego do wojskowej ścieżki kariery. Pierwszy dotyczy biologii, a drugi demografii.

Demograficzny argument na rzecz kobiet

Faktem jest, że Polska, podobnie zresztą jak reszta krajów europejskich, mierzy się z dużym kryzysem demograficznym. Dzieci rodzi się dramatycznie mało. W Polsce jest to średnio ledwo jedno dziecko na kobietę, a w skali Unii Europejskiej wskaźnik ten wynosi niespełna 1,4 dziecka na kobietę. Jeśli trend ten się nie zatrzyma, to być może w ciągu trzech-czterech lat polska dzietność spadnie poniżej wartości 1. Podczas gdy minimalny bezpieczny i zdrowy wskaźnik dzietności to przeciętnie 2,15 dziecka na kobietę.

Nie jest to tekst o skutkach zapaści demograficznej, więc jedynie dla zarysowania stawki warto dodać, że niska dzietność przekłada się na osłabienie rozwoju gospodarczego, zaburzenia strukturalne w społeczeństwie, niedobór pracowników na rynku oraz braki w kadrach administracji publicznej i w wojsku, cywilizacyjne cofanie się najbardziej wyludniających się regionów, obniżenie innowacyjności społeczeństwa, nieproporcjonalnie wysokie wydatki w zakresie służby zdrowia i emerytur, upowszechnianie zachowań antyspołecznych i konflikty pokoleniowe czy pogorszenie pozycji wyludniającego się państwa na arenie międzynarodowej.

Natomiast pomysł, że duże ubytki demograficzne powstające z pokolenia na pokolenie przy niskiej dzietności można uzupełnić imigrantami, rzeczywistość zweryfikowała negatywnie. Zdrowa demografia, gospodarka i społeczeństwo mogą być w niewielkim stopniu zasilane obcokrajowcami, ale nie powinny na nich bazować, bo rodzi to wiele problemów związanych z integracją przybyszów i jej kosztami, dezintegracją społeczeństwa przyjmującego czy drenażem mózgów w państwach, z których imigranci przybywają – a w efekcie także osłabianiem ich rozwoju i napędzaniem w nich biedy, korupcji czy wojen domowych.

Państwo polskie powinno zatem wprowadzić cały system sprzyjający dzietności. Od łatwo dostępnych mieszkań dla młodych par, przez stabilność zatrudnienia, promowanie prorodzinnych i antyindywidualistycznych wzorców kulturowych,

PO 35. ROKU ŻYCIA KOBIETY Z KAŻDYM ROKIEM RYZYKO WYSTĄPIENIA ZESPOŁU WAD WRODZONYCH U JEJ DZIECKA ZNACZĄCO WZRASTA.

eprasa.pl d791689b9e

Fot. Adobe Stock

po zwalczanie izolacji społecznej i smartfonozy u młodzieży, przez które wchodzący w dorosłość mężczyźni i kobiety niejednokrotnie nie potrafią się zachować, w tym zagadywać, flirtować, randkować, dogadywać się. Nie wspominając o tworzeniu związków i rodzin.

Już samo wydłużenie edukacji wyższej opóźnia mocno zachodzenie przez wiele kobiet w pierwszą ciążę. A pamiętajmy, że u kobiet płodność z wiekiem drastycznie się pogarsza. Liczne badania z zakresu biologii gamet, zarodków i płodów dowiodły, że po 35. roku życia kobiety z każdym rokiem ryzyko wystąpienia zespołu wad wrodzonych u jej dziecka znacząco wzrasta – jak podają podręczniki do genetyki medycznej czy embriologii, towarzystwa ginekologiczne (m.in. American College of Obstetricians and Gynecologists), a także rozliczne publikacje naukowe, wydane m.in. w takich czasopismach, jak „Fertility and Sterility", „JBRA Assisted Reproduction" czy „Journal of Obstetrics and Gynaecology Canada". Jest tak z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że żeńskie komórki rozrodcze powstają jeszcze w czasie prenatalnym (gdy kobieta jest w brzuchu matki, jako płód). W przeciwieństwie do plemników, powstających wciąż od nowa co około 73 dni. Komórka jajowa jest więc w takim wieku, jak jej posiadaczka. Natomiast u mężczyzn plemniki co około 2,5 miesiąca są nowe.

Każdy czynnik opóźniający zachodzenie w pierwszą ciążę logicznie zmniejsza prawdopodobieństwo pojawienia się drugiego bądź trzeciego dziecka. Wniosek ten podtrzymują również dane demograficzne zbierane przez Eurostat: im później kobieta urodzi pierwsze dziecko, tym mniejsze prawdopodobieństwo pojawienia się kolejnych. Tymczasem trwająca zapaść demograficzna jest już tak głęboka, że nie da się jej zażegnać jedynakami. Systemowe polityki powinny promować

eprasa.pl d791689b9e

tworzenie rodzin co najmniej 2+2 lub 2+3, a bezdzietnych zachęcać do urodzenia chociaż jednego dziecka.

Czynnikiem opóźniającym urodzenie pierwszego dziecka mogą być nie tylko późno nabyte, własne cztery kąty, brak stałego związku przez kryzys relacji międzyludzkich, zwlekanie przez pracodawcę z umową o pracę na czas nieokreślony, ale i gorączka edukacyjna czy służba wojskowa. Oczywiście na tle problemu mieszkaniowego miesiąc lub rok szkolenia wojskowego może mieć nieduże znaczenie, tym niemniej dokładanie kobiecie obowiązków w jej okresie rozrodczym raczej nie sprawi, że urodzi więcej dzieci.

Biologia również przemawia przeciwko

O ile dla mężczyzn szkolenie wojskowe może okazać się znakomitym antidotum na nadmierny indywidualizm, izolację społeczną i braki w umiejętnościach interpersonalnych* – składowe przyczyn kryzysu demograficznego – tak w przypadku kobiet niekoniecznie efekt taki wystąpi. Z wielu przyczyn. M.in. kobiety mają inne wzorce zachowań grupowych. Ich sylwetki są zaś dużo bardziej różnorodne niż męskie, przez co nawet uniformizacja strojów może stanowić problem.

Do tego dochodzi okres miesiączkowy – warunkowany hormonalnie, nieodzowny element, jeszcze bardziej problematyzujący obowiązkowe szkolenie wojskowe dla kobiet. Kobiety mają okres nierównocześnie, znosząc wtedy bóle brzucha, migreny, a zwłaszcza krwawienie. Powoływanie kobiet do wojska musiałoby to jakoś uwzględniać, co wydaje się organizacyjnym chaosem. Ponadto część kobiet dotyka zespół napięcia przedmiesiączkowego, który poprzez hormony i neuroprzekaźniki powoduje wahania nastroju. To na pewno nie sprzyja utrzymaniu werwy, mobilizacji i morale.

Drugi istotny argument biologiczny odnosi się do siły fizycznej.

KOBIETY BEZ WĄTPIENIA SĄ ZNACZNIE SŁABSZE FIZYCZNIE OD MĘŻCZYZN. MAJĄ MNIEJ MIĘŚNI, A WIĘCEJ TKANKI TŁUSZCZOWEJ.

Kobiety bez wątpienia są znacznie słabsze fizycznie od mężczyzn. Mają mniej mięśni, a więcej tkanki tłuszczowej, ich kości nie są tak gęste, jak męskie, a stawy i więzadła są mniej wytrzymałe. Pojemność płuc czy wydolność serca również są mniejsze u kobiet niż u mężczyzn. Fakty te, znane od dawna, są „odkrywane" na nowo z powodu trwającego sporu o „liczbę płci" czy o pojęcie „kobiety" i opisywane w różnych publikacjach naukowych, w tym m.in. w periodykach „Physiology & Behavior", „Physiology" czy „Journal of Functional Morphology and Kinesiology".

POJEMNOŚĆ PŁUC CZY WYDOLNOŚĆ SERCA SĄ MNIEJSZE U KOBIET NIŻ U MĘŻCZYZN.

Kobiety mają też statystycznie niższy wzrost – a dodajmy, że wysokość poniżej 155 cm kwalifikuje do wojskowej kategorii D, czyli niezdolności do służby wojskowej w czasie pokoju. Kobiet o takim wzroście wcale nie jest tak niewiele. Oczywiście istnieją wybitnie wysportowane i uzdolnione fizycznie kobiety, ale ogółem płeć żeńska w mniejszym stopniu nadaje się do ciężkiego treningu fizycznego.

*Przy założeniu, że służba wojskowa, mimo swego rygoru, jest ogółem przyjaznym i formującym doświadczeniem. Powszechnie znane i wcale niezmyślone historie o nadmiernym wykorzystywaniu wyższych pozycji w hierarchii, zachowania graniczące z mobbingiem, czasem zbyt wymagające i niepotrzebnie surowe zasady – wszystko to skutecznie zniechęca młodych mężczyzn do wojska, przez co zamiast patrzeć na nie jak na nowe, wartościowe doświadczenie i możliwość zdobycia kolejnych umiejętności, obawiają się oni potencjalnie panującej na szkoleniu surowości. Sytuacji nie poprawia fakt, że niektóre badania psychologiczne wykazały, iż wojskowi to jedna z najbardziej narcystycznych grup zawodowych, wraz z celebrytami, naukowcami, influencerami i chirurgami. Zapewne niejedna osoba, która miała do czynienia z wyżej postawionymi przedstawicielami armii, doświadczyła antyspołecznego traktowania z ich strony. Takie historie siłą rzeczy roznoszą się wśród ludzi i zdecydowanie nie zachęcają do odbycia co do zasady korzystnego i ciekawego szkolenia.

eprasa.pl d791689b9e

Argumenty „za” są mizerne

Istnieje całkiem sensowny postulat, by podstawowe szkolenie wojskowe było nieco lżejsze. Dzięki temu mężczyźni chętniej by na nie szli, a spróbowawszy, potencjalnie częściej decydowaliby się na dalszą karierę w armii, obejmującą cięższe szkolenia. Pozornie argument ten wydaje się logiczny również w odniesieniu do kobiet, z jednoczesnym nałożeniem na nie obowiązku wojskowego. Jednakże w kontekście demografii skłanianie kobiet do służby w wojsku dalej jest problematyczne, niezależnie od rodzaju czy trudności szkolenia. Tylko kobiety mogą rodzić dzieci i tego, chcąc nie chcąc, nie przeskoczymy.

Drugi kontrargument zwolenników powoływania kobiet do armii jest paradoksalny. Twierdzą oni, że skoro kobiety rodzą dziś tak mało dzieci, to nie ma przeciwwskazań, by szły do wojska. „W końcu raczej i tak nie urodzą”. Jednak takie osoby mylą – i to na zasadniczym poziomie – sekwencję rozumowania. Bo chodzi o to, by dzieci było więcej, a nie jeszcze mniej. Zaś ewentualne rozgraniczanie, by do wojska szły tylko kobiety bezdzietne, może doprowadzić do polaryzacji społecznej lub zachodzenia w ciążę nie z naturalnego pragnienia założenia rodziny, lecz wymuszonych starań celem uniknięcia służby wojskowej.

Mam przy tym wszystkim silne wrażenie, że ci, którzy postulują, by albo obie płcie były powoływane do wojska, albo żadna (nie jest to bardzo powszechna narracja, ale rzuca się ona w oczy w różnych grupach tożsamościowych, lewicowych i libertariańskich, i wychodzi praktycznie wyłącznie od mężczyzn), liczą raczej cynicznie na to, że z obawy władz przed wdrażaniem służby kobiet nie zostanie wprowadzony żaden obowiązek. Dla nikogo. Na zasadzie: „Sprawmy, by myślano, że szkolenie wojskowe wyłącznie dla mężczyzn to dyskryminacja. A ponieważ nikt nie wdroży obowiązkowego szkolenia dla kobiet w imię «równości», to bojąc się oskarżeń o dyskryminację mężczyzn, rząd całkowicie zrezygnuje z powszechnych szkoleń”. Ta tożsamościowa narracja, przypominająca trochę męski wokeizm, jest nie tylko nielogiczna i niespójna. Stanowi też podarek dla Kremla.

Na marginesie, obowiązek ewidencji wojskowej dla kobiet już teraz de facto funkcjonuje, lecz nie jest powszechny. Dotyczy kobiet, które ukończyły studia z określonych dziedzin okołomedycznych i zdrowotnych, w tym na przykład z pielęgniarstwa, ratownictwa medycznego, farmacji, psychologii, weterynarii czy fizjoterapii. Co więcej, także kobiety po szkoleniu na techniczki weterynarii bądź farmacji muszą stawić się w komisji wojskowej. Nie jest to równoznaczne z nakazem przejścia podstawowego szkolenia wojskowego, ale stanowi pewien krok w kierunku armii.

Zamiast kierować do wojska kobiety, zdecydowanie lepszym rozwiązaniem będzie zachęcenie do niego mężczyzn. Nie tylko zarobkiem 6 tysięcy złotych za początkowe, miesięczne szkolenie, ale i promowaniem wizerunku takiego szkolenia jako ciekawego, wartościowego i przydatnego, bez stereotypowo przypisanych mu skarg na złe traktowanie bądź kiepskie warunki. W przypadku kobiet sens mogłoby mieć kilkudniowe, obowiązkowe cywilne szkolenie wojskowe z niesienia pomocy medycznej, dostarczania przesyłek podczas działań wojennych, podstawowego korzystania z broni. To samo dotyczyć by mogło mężczyzn, którzy od komisji wojskowej otrzymali kategorię D i E.

WOJSKOWI TO JEDNA Z NAJBARDZIEJ NARCYSTYCZNYCH GRUP ZAWODOWYCH, WRAZ Z CELEBRYTAMI, NAUKOWCAMI, INFLUENCERAMI I CHIRURGAMI.

KOBIETY MAJĄ STATYSTYCZNIE NIŻSZY WZROST – WYSOKOŚĆ PONIŻEJ 155 CM KWALIFIKUJE DO WOJSKOWEJ KATEGORII D, CZYLI NIEZDOLNOŚCI DO SŁUŻBY WOJSKOWEJ W CZASIE POKOJU.

eprasa.pl d791689b9e

STREFA KONTAKTU IGORA ZALEWSKIEGO

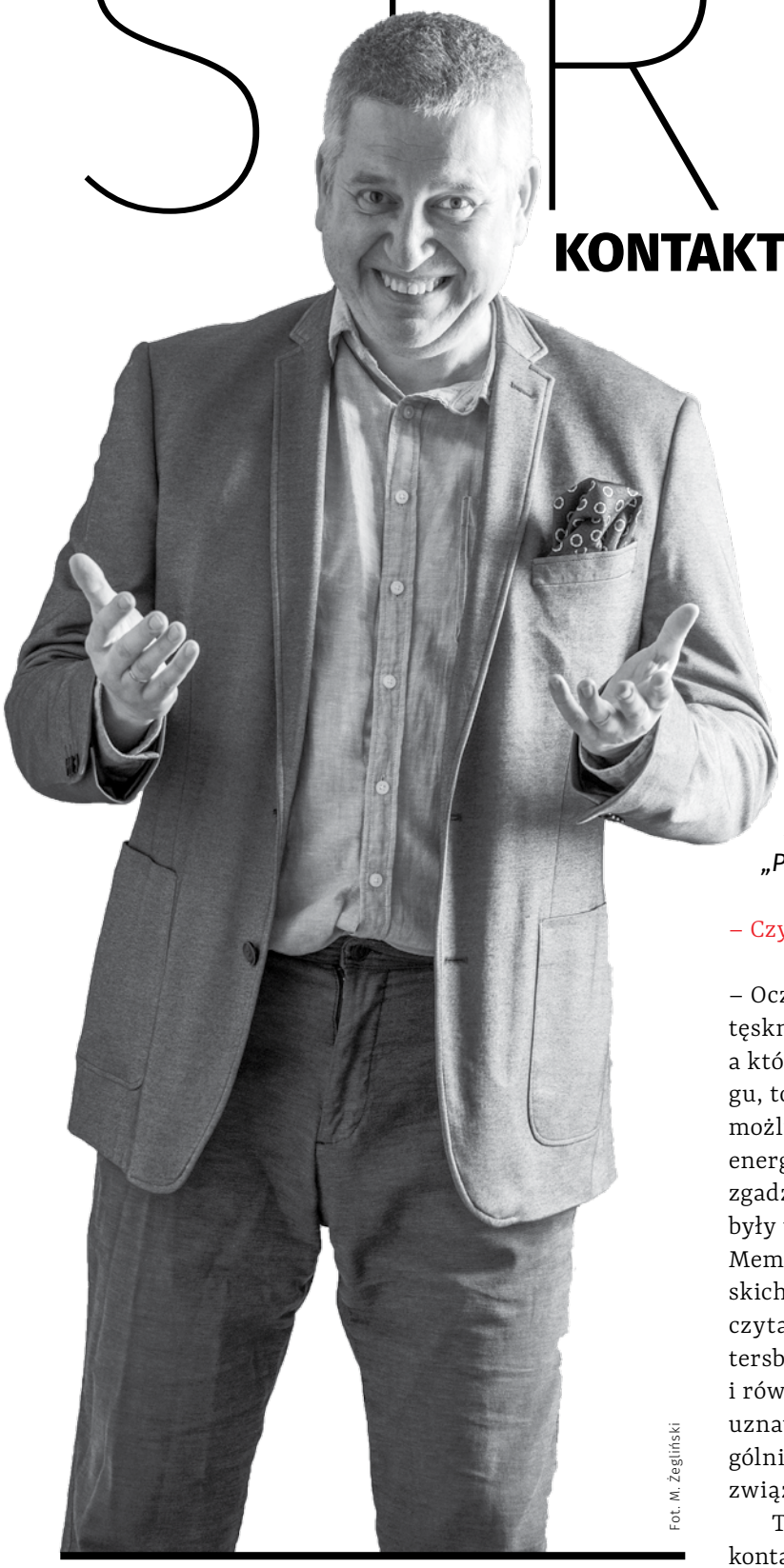

Fot. M. Żegliński

WSZYSTKIM RZĄDZĄ CZEKIŚCI

*– Nie ma małych mafii. Wszystkim rządzą czekiści, których Putin spotykał na różnych etapach swojego życia – mówi **Grzegorz Ślubowski**, były konsul w Petersburgu, autor książki „Petersburg. Pokój i wojna”.*

– Czy tęskni Pan za Rosją?

– Oczywiście, że tęsknię. Tęsknie za Petersburgiem, tęsknię za ludźmi, z którymi tam współpracowałem, a którzy tam zostali. Kiedy myślę o Rosji, o Petersburgu, to myślę o tych ludziach, z którymi teraz nie mam możliwości się zobaczyć. Jako konsul szczególnie dużo energii poświęcałem na wsparcie środowisk, które nie zgadzały się z władzą. Może nie były opozycyjne, ale nie były to środowiska proputinowskie. Można tu wymienić Memoriał, czyli ludzi, którzy dbali o pomniki stalinowskich represji. Była też grupa młodych aktorów, którzy czytali wiersze. Było środowisko Polonii, które w Petersburgu jest stosunkowo liczne, około 500 osób. No i również Kościół katolicki, który wbrew pozorom jest uznawany za środowisko nonkonformistyczne. Szczególnie w porównaniu z Cerkwią, która jest całkowicie związana z państwem.

Tych różnych ludzi zostało dużo, czasami się z nimi kontaktuję, ale spotkać się nie mogę.

eprasa.pl d791689b9e

– Mówi Pan o jakichś niedobitkach...

– Często patrzymy na Rosję jak na Trzecią Rzeszę. Że tam nie ma już nic – jednolite społeczeństwo maszerujące równym krokiem. Petersburg jest miastem całkiem innym, jest miastem najbardziej zachodnim, i tam tego pola do działania było najwięcej. W porównaniu z prowincją wygląda to zupełnie inaczej. Na prowincji wymagania władz są zupełnie inne – tam każdy musi włączyć się w walkę z Zachodem, w retorykę wojenną i organizować akademie ku czci. Oczekiwania wobec mieszkańców Moskwy i Petersburga są zupełnie inne – władzom wystarczy, żeby ludzie im się wtrącali. Niech oni siedzą w tych swoich bańkach, niech zajmują się muzyką, ale niech broń Boże nie piszą o Putinie i wojnie.

– Ja nie rozumiem Pana tęsknoty. Z Pana książki „Petersburg. Pokój i wojna" wyłania się obraz Rosji jako koszmarnego państwa, w którym nie chciałbym spędzić nawet kilku dni. Te środowiska opozycyjne, o których Pan mówi, to są wysepki położone na oceanie przerażającego konformizmu.

– Mimo wszystko czuję sentyment do tych ludzi. Dla mnie to było ważne, że mogłem być tam w takim czasie i dołożyć cegiełkę, by tym ludziom pomagać. Pewnie nie taka powinna być rola konsula w normalnych czasach. Konsul zajmuje się sprawami wizowymi i paszportowymi, ale było to miejsce szczególne i czasy szczególne. I wydawało mi się, że granica między dobrem a złem jest tak oczywista, że trzeba się opowiedzieć po jednej stronie i coś zrobić, by ocalić te wysepki.

Większość Rosji popiera Putina, popiera wojnę. Putin znalazł klucz do tego społeczeństwa.

– A co z tym oceanem? On mi się wydał strasznie ponury. W książce maluje Pan obraz masy ludzi całkowicie obojętnych, dla których jedyną wartością są pieniądze i czubek własnego nosa.

– Większość Rosji taka jest. Nie ulega wątpliwości, że większość Rosji popiera Putina, popiera wojnę. Putin znalazł klucz do tego społeczeństwa, może nie było to takie trudne, bo społeczeństwo samo czekało na kogoś takiego jak Putin, po zapaści lat 90. Bieda z jednej strony, ale poczucie klęski i poniżenia, takie psychologiczne poczucie, że kiedyś byliśmy wielcy, bali się nas, a teraz nikt się z nami nie liczy. Zdobywaliśmy Berlin, a teraz nic. Putin zwrócił im to poczucie godności. Gdyby Jelcyn umiał inaczej skonstruować społeczeństwo rosyjskie, na modłę zachodnią, to może by to wyglądało lepiej. Ale to się nie udało, a okres wątłej demokracji kojarzy się ze złodziejstwem, z bandytyzmem, korupcją elit, nepotyzmem...

– A czy te rzeczy nie istnieją w dzisiejszej Rosji? Bandytyzm, korupcja, złodziejstwo... To zdaje się Michaił Sałtykow-Szczedrin powiedział: „Gdyby po 100 latach mnie obudzili, to i tak bym wiedział, co w Rosji – piją i kradną". Teraz tak nie jest?

– Mniej to widać. To się odbywa, ale jest przysłonięte dominacją władzy, państwa. Jest korupcja, ale ta korupcja nie jest widoczna. Mnie np. nikt nie proponował łapówek, nikt ich nie oczekiwał. Petersburg jest bardzo spokojnym miastem, nikt się nie zabija jak w latach 90. Oni mówią, że przejęła to inna mafia, dużo potężniejsza – mafia Putina. W książce opisuję historię bandytów petersburskich, którzy gdy rozpadło się państwo, wchodzili na miejsce jego organów siłowych. Zaczęli zbierać haracze, stali się sądem i bardzo się bogacili. Później weszli w etap walki z innymi grupami, wyjątkowo brutalny okres, pełen zabójstw i morderstw. Na czele tego stał niejaki Borsukow, który nazywany był Nocnym Merem Petersburga. Krążyły opowieści, że on nogą otwierał drzwi, gdzie urzędował mer Anatolij Sobczak, jego zastępca Putin – ówcześni rządcy Petersburga. I pewnie dużo w tym było prawdy.

Ale losy tej grupy są charakterystyczne. Borsukow siedzi w więzieniu. Srogo się zawiódł na Putinie, gdy ten został prezydentem. Trafił do więzienia i podobny był los innych gangsterów. Nie ma małych mafii. Wszystkim rządzą czekiści, których Putin spotykał na różnych etapach swojego życia. I to oni są dzisiaj tą mafią.

– Fascynujący jest wątek utraty pamięci. Bo lata 90. w Rosji wspominane są kiepsko, ale z drugiej strony był to moment ożywienia duchowego, pamiętania o ofiarach systemu sowieckiego. Jak to się stało, że w Rosji to się tak szybko rozpuściło i przestało się liczyć dla ludzi, którzy w tych zbrodniach potracili najbliższych?

– To jest dobre pytanie, ja do końca nie potrafię na nie odpowiedzieć, dlaczego tak się stało. Bez wątpienia te wielkie zbrodnie stalinowskie są zapominane, wypierane z pamięci. Poza wąskimi grupami, jak Memoriał, to nie jest w ogóle temat. Dlaczego? Pierwszy element był taki, że ci ludzie i te rodziny się bały. Rodzina wroga ludu ponosiła konsekwencje. W Petersburgu oglądałem spektakl,

eprasa.pl d791689b9e

w którym reżyser dzielił się swoimi wspomnieniami z dzieciństwa, kiedy to jego ojciec został aresztowany na rozkaz Stalina. I rodzina mu tego nie powiedziała, mówili mu, że ojciec poleciał w kosmos. Żył w przekonaniu, że ojciec jest, w swoim dziecięcym świecie rozmawiał z nim i przekonywał do powrotu. I właśnie oprócz tego strachu był element, że ludzie się tego wstydzili. Kiedy byłem w Republice Komi, spotkałem tam sportowca, który osiągał duże sukcesy. On się urodził w Republice Komi, ale jego rodzina została tam zesłana, bo byli kułakami. Jednak w oficjalnym biogramie sportowca napisano, że wyjechali tam do pracy. To się wycina ze świadomości rodzinnej, nie opowiada się tego dzieciom. Trochę ze wstydu, trochę żeby je chronić. I może Rosjanie byli po prostu przewidujący, dobrze znali swoją ojczyznę. Bo teraz znowu jest odwrót od trudnej przeszłości. Mówi się, że Stalin to był budowniczy rosyjskiego imperium, cel uświęca środki, a któż nie robi błędów...

– Na marginesie, Chińczykom kilka lat temu wskazywano słynne zdjęcia z placu Tienanmen i proszono ich o zlokalizowanie tych protestów, gdzie mogły być. I nikt nie wskazał Chin. Tak bardzo to wymazano.

– To niesamowite, że można w ogóle tak zrobić. Że można pozbawić ludzi pamięci. Ofiary stalinowskich zbrodni są sierotami. Pamiętają o tym nieliczne grupy osób i polscy konsulowie, ale w zbiorowej świadomości one nie istnieją. A to były miliony ludzi...

– A czy mógłby opowiedzieć Pan o Cerkwi? Bo wygląda na to, że to po prostu jedna z wielu odnów państwa.

– Dokładnie. To niewiele się różni od tego, co było. Na początku miałem do czynienia z Cerkwią bardzo dużo. Starałem się wejść w środowisko prawosławne, wydawało mi się, że oni mogą pamiętać, bo przecież duchowieństwo prawosławne było jedną z większych ofiar stalinowskich siepaczy. Zostali fizycznie wycięci. Gdy byłem w Wołogdzie, opowiadano mi, jak w latach 30. przyjechało NKWD i wyłapywało starych popów, nawet takich, którzy nie mogli chodzić. Wyciągali ich z domów i wywozili, aby ich rozstrzelać. Cerkiew została przez Stalina, przez bolszewików zniszczona. Wydawało mi się naturalne, że ta hekatomba będzie pamiętana. I spotykałem się z różnymi ludźmi, z rektorem akademii duchownej w Petersburgu, z biskupem. Oni mają gigantyczny sentyment do Polski, do katolicyzmu, do Jana Pawła II – dla nich to jest wielka postać. Postać wroga, z którą się nie zgadzają, ale postać, do której ma się szacunek. Ale moje wszelkie kontakty załamały się, kiedy nastąpił atak na Ukrainę. Wtedy Cerkiew zachowała się jak zawsze – poparła rząd, zaczęto modlić się za sukcesy rosyjskiej armii, w cerkwiach zbierano pieniądze na broń. I jej przedstawiciele nie chcieli się ze mną spotykać.

– A czy Rosjanie to wierzący ludzie?

– Mam porównanie z początkiem lat 2000., kiedy pracowałem w Moskwie jako korespondent. Wtedy wiara nie odgrywała żadnego znaczenia. Teraz odgrywa większe, ale nie określiłbym Rosjan mianem ludzi religijnych.

– Rosję przedstawia się jako raj konserwatywny – religijnych, bogobojnych ludzi, którzy przestrzegają zasad...

– To jest obraz fałszywy, który jest kreowany właśnie dla różnych grup konserwatywnych. Faktycznie jest więcej ludzi w cerkwiach niż kiedyś. Natomiast to po prostu nie jest prawdziwy Kościół. Nie chodzi tam o zbawienie duszy, tylko by służyć władzy i państwu. Nie jest to miejsce, gdzie człowiek myślący znajdzie swoje miejsce. Stąd taka popularność ruchów religijnych poza Cerkwią.

Ofiary stalinowskich zbrodni są sierotami. W zbiorowej świadomości one nie istnieją. A to były miliony ludzi...

– Zawsze tak było. Cerkiew była traktowana przez lud jak okupant, agenda rządowa, policja dusz.

– W Cerkwi są też różni ludzie. Poznałem popa, z którym utrzymywałem znajomość, a który był bardzo nieprzychylnie nastawiony do tego, co się dzieje. Ale siedział cicho i nie ukrywał, że z powodów koniunkturalnych – bo miał rodzinę, syna, córkę, żonę... I nie może sobie pozwolić na głos buntu, musi być częścią systemu. Jak go pytałem, czy się modli za zwycięstwo, to powiedział: „Kazali się modlić, to się modlę".

– Myślę sobie, że ci nieliczni ludzie, którzy myślą niezależnie, którzy marzą o nieco innej Rosji, to najbardziej samotni i nieszczęśliwi ludzie na świecie.

– Tak. Ja ich rozumiem i myślę, że dlatego mam do nich taki sentyment. Żadnej nadziei. I są też przez wszystkich traktowani jako część systemu, którym nie chcą być. My nie mamy rozróżnienia na putinistów i nieputinistów,

eprasa.pl d791689b9e

tylko mówimy: Rosjanie. I to wielu rani. Dużo Rosjan wyjechało. Znam osobiście Rosjan, którzy chcieli walczyć po stronie Ukrainy i oni spotkali się z gigantyczną niechęcią ze strony ukraińskiej, ale i polskiej. To są ludzie po każdej stronie obcy. Nadal to są ci orkowie, Rosjanie, skąd mamy wiedzieć, co im siedzi w głowach. I znam osobę, która wyjechała z Europy i po prostu zerwała wszelkie kontakty z przeszłością. Nie widzę dla nich szans, by coś się zmieniło.

– Właśnie miałem o to spytać. Mówi się, że śmierć Putina mogłaby coś zmienić.

– Nie wiadomo oczywiście. Ten system to w ogóle czarna skrzynka. Wiemy, że istnieje ta piramida władzy, na szczycie której stoi Putin (te wszystkie doniesienia, że Putin nie żyje, to bajki oczywiście) i on decyduje o większości spraw, ale czy to coś przyniesie?

– Czy nie jest tak, że po Stalinie przychodzi Chruszczow?

– Może tak. Też myślę, że każda zmiana w Rosji jest nadzieją. Nawet zmiany niepewne. Bo to niemożliwe, że byłby ktoś ostrzejszy niż Putin.

– A jest oczekiwanie na zmiany w Rosjanach?

– Znowu – w jakich Rosjanach? Większość Rosjan popiera tę władzę, podoba im się jej retoryka. Nie oczekują odwilży, bo przeciętny mieszkaniec jakieś wsi nie interesuje się takimi rzeczami.

– Jak siedzi cicho, to nie grozi mu kolonia karna.

– Dokładnie. Z drugiej strony myślę, że jedna rzecz, która się szczególnie udała Putinowi, prócz ideologii, to, że te sankcje zadziałały bardzo słabo. Jeżeli w ogóle zadziałały. Rosjanie wcale nie żyją gorzej, mam wrażenie, że w niektórych regionach nawet lepiej. On płaci za wojnę. Kontrakt to dużo pieniędzy, ludzi się kupuje.

– Jeszcze niech Pan powie, jak to jest, że jest Pan w Polsce, a nie w Petersburgu. Co się wydarzyło?

– Wydarzyło się to, że Polska zamknęła konsulat rosyjski w Poznaniu po aktach dywersji. A w odpowiedzi na to Rosjanie zamknęli konsulat w Petersburgu. Musieliśmy przeprowadzić ewakuację i wynieść się z Petersburga.

– Kiedy to było?

– W styczniu 2025 roku. Do 10 stycznia mieliśmy czas, by wyjechać. Zostaliśmy uznani za persona non grata, a budynek został przekazany Rosji.

– A jak to się stało, że jest Pan teraz dziennikarzem w Kanale Zero, a nie dyplomatą? Jest chyba niepisana reguła dyplomatyczna, że o wydalanych dyplomatów dba się szczególnie.

– Jest chyba taka zasada w europejskich państwach. Ale to pytanie nie jest do mnie, tylko do MSZ. To nie była moja decyzja. Nastąpiła fala pozbywania się ludzi, którzy zostali zatrudnieni przez rząd Prawa i Sprawiedliwości i pewnie zostałem wrzucony do tego worka. Ale nie umiem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie dostałem żadnej propozycji pracy. Moje pierwsze rozmowy w MSZ raczej wskazywały, że będę traktowany jak bohater. Ale nic takiego się nie stało. Zostałem bez pracy i Kanał Zero mnie przygarnął.

– Ale dostał Pan order?

– Tak, od prezydenta Andrzeja Dudy, Złoty Krzyż Zasługi.

– I dla MSZ to nic nie znaczyło?

– Widocznie nie, ale trudno mi to oceniać.

– A zna Pan osobiści ministra Radosława Sikorskiego?

– Nie. Kilka razy z nim rozmawiałem, ale trudno to nazwać znajomością.

Grzegorz Ślubowski
– dziennikarz i publicysta. W latach 1999–2006 korespondent Polskiego Radia w Moskwie. Do roku 2019 szef Redakcji Publicystycznej Polskiego Radia, w latach 2019–2025 konsul generalny RP w Sankt Petersburgu. Obecnie dziennikarz w Kanale Zero.

eprasa.pl d791689b9e

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Miękka bezsiła Polski

Zdzisław Krasnodębski

Polacy martwią się o wizerunek Polski w świecie. Ostatnio trochę mniej, bo nasz względny dobrobyt został wreszcie zauważony i doceniony, a Donald Tusk, wracając na stanowisko premiera, w magiczny sposób znowu uczynił Polskę liberalną demokracją, choć walczącą.

Ciągle jednak mamy poczucie, że Polska w przeciwieństwie do wielu innych krajów nie jest dostatecznie doceniana, że jej obraz jest gorszy niż jej rzeczywistość. Nasze ostre konflikty polityczne i podziały na pewno nie przyczyniają się do jego poprawy. Mamy skłonność do dramatyzowania i przesady w używaniu czarnych barw w opisie naszej sytuacji. Ale przyczyny są głębsze, historyczne, sięgają czasu zaborów i straconego przez nas XIX wieku.

Nie można przy tym zapominać, że to, jak inni nas postrzegają, zależy nie tylko od nas, ale przede wszystkim od nich – od ich przekonań, skłonności uprzedzeń i interesów. Na przykład alianci zachodni, którzy nas sprzedali Stalinowi w Jałcie, nie mieli powodu, by upamiętniać zasługi Polaków w walce z hitlerowskimi Niemcami, ujawnić sprawców zbrodni w Katyniu i sławić heroiczność Powstania Warszawskiego, nie mówiąc już o oporze żołnierzy niezłomnych przeciw „ludowej władzy".

Utrwalone w świadomości zbiorowej (i kiedyś świadomie produkowane przez mocarstwa ościenne) negatywne stereotypy dotyczące Polski natychmiast są uruchamiane, gdy w naszym kraju dzieje się coś, co bardzo nie odpowiada naszym partnerom lub rywalom.

Wtedy od razu psuje się nasz wizerunek. I tak w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy Polska znowu stała się krajem „postkomunistycznym", wymagającym nadzoru ze strony „Zachodu", rzekomo „młodą demokracją", która właśnie zaczęła się szybko staczać w autorytaryzm, a także nowym członkiem UE, choć członkiem UE Polska jest od 2004 roku, a od upadku komunizmu minęło ponad 35 lat. Polska ciągle także uchodzi za kraj w przeszłości szczególnie dotknięty nacjonalizmem i antysemityzmem, choć doprawdy trudno by nam się było pod tym względem równać z Niemcami czy Francją. Jeśli kierunek, w którym zmierza polska polityka nie odpowiada naszym partnerom lub przeciwnikom, natychmiast wszystkie zdarzenia i fakty, nawet błahe, wtłaczane są w negatywne ramy interpretacyjne i kolportowane przez ich media oraz „naukowców".

BYWAŁY CHWILE, GDY POLSKA BUDZIŁA PODZIW CAŁEGO ŚWIATA. JEDNĄ Z NICH BYŁ POCZĄTEK PONTYFIKATU JANA PAWŁA II.

Nie o wizerunek jednak powinniśmy się troszczyć, ale o naszą „soft power", o naszą miękką siłę. A to nie to samo. Pojęcie „soft power" ukute przez amerykańskiego politologa Josepha Nye'a było skrojone dla Stanów Zjednoczonych jako lidera świata zachodniego. Nye pisał w książce „Soft Power: The Means to Success in World Politics": „Kraj może osiągnąć pożądane rezultaty w polityce międzynarodowej, ponieważ inne kraje – podziwiając jego wartości, naśladując jego przykład, dążąc do osiągnięcia jego poziomu dobrobytu i otwartości – chcą podążać za nim. W tym sensie ważne jest również wyznaczanie programu działania i przyciąganie innych podmiotów w polityce międzynarodowej, a nie tylko zmuszanie ich do zmian poprzez groźby użycia siły militarnej lub sankcji gospodarczych. Ta miękka siła – sprawianie, że inni pragną tego samego, co my – raczej przekonuje ludzi, niż ich zmusza".

„Miękka siła" nie jest możliwa bez „dobrego wizerunku", ale się do niego nie sprowadza. Nawet więcej – zbytnia uwaga przywiązywana do wizerunku, do tego, jak nas widzą inni, świadczy nie o sile, lecz o słabości, a „dobry wizerunek" może być

eprasa.pl d791689b9e

nagrodą za uległość, za dostosowanie się do czyichś gustów, za uleganie czyimś interesom. „Soft power" jest władzą i musi wynikać z chęci władzy – atrakcyjność służy nam do tego, żeby osiągać inne cele niż tylko podobanie się odbiorcy. Wizerunek jest instrumentem, by realizować cele polityczne, by uzyskać władzę nad innymi, skłonić ich, by działali tak, jak my chcemy. Znamy to z relacji interpersonalnych – wtedy, gdy ktoś czarując urodą, wdziękiem, inteligencją, zyskuje w ten sposób wpływ na innych. Należy jednak wystrzegać się przesady, gdyż zbyt usilne zabieganie o czyjeś pozytywne nastawienie może przynieść skutki odwrotne, może nawet odstręczać lub budzić podejrzenie o lekkie obyczaje. Spora doza dumy i poczucia własnej godności są konieczne. Nie chodzi o to, by się przypodobać, lecz by innych uwieść, oczarować, by z podziwu dla nas spełniali naszą wolę. Charyzmę, którą mogę mieć jednostki, ale także narody czy kraje. Miała ją kiedyś Ameryka, teraz kryzys światowej władzy Stanów Zjednoczonych polega również na tym, że ją traci. Cechy przynoszące podziw są oczywiście zmienne – w dobie masowej imigracji, wojny i kryzysu nie są już nimi „otwartość" lub „liberalizm". Stąd także upadek prestiżu krótkotrwałego „mocarstwa moralnego", czy jak kiedyś mówiono „cywilnego" (Zivilmacht) – Niemiec.

„Miękka siła kraju – pisał Nye – opiera się przede wszystkim na trzech zasobach: jego kulturze (w miejscach, gdzie jest ona atrakcyjna dla innych), wartościach politycznych (gdy kraj realizuje je w kraju i za granicą) oraz polityce zagranicznej (gdy jest ona postrzegana jako uzasadniona i posiadająca autorytet moralny)".

Czy współczesna Polska miała kiedyś taką siłę? Czy zawsze była „brzydką panną bez posagu", by zacytować klasyka? Nie, bywały chwile, gdy budziła podziw całego świata – Polska w sensie wspólnoty politycznej, kraju, narodu, a nie państwa. Jedną z takich chwil był początek pontyfikatu Jana Pawła II, kiedy na nowo odkryto w świecie duchowość Polski, jej wiarę. Potem symbolem wielkości Polski, jej wielką siłą przyciągania stała się Solidarność. Także tragiczne sytuacje przypominały o naszych wartościach politycznych. Tak było ze stanem wojennym, który znów uzmysłowił „Zachodowi" tragizm naszej historii i heroizm Polaków. Także rok 1989 był czasem, w którym uwaga świata skupiała się na Polsce, na jej dążeniu do wolności i niepodległości. Szybko jednak to minęło. Zaczęto znowu postrzegać Polskę jako kraj biedny, zależny, uczący się od innych i chcący się uczyć, jako aspiranta; potem zaś jako potulnego, nudnego średniaka z „Mitteleuropa".

A jak jest teraz? Nasze starcie z elitami unijnymi w latach 20015–2023 przegraliśmy nie z powodu braku siły militarnej ani nawet z powodu zbyt małej siły gospodarczej, lecz z powodu braku „siły miękkiej". Polska długo nie miała żadnych instrumentów komunikowania się na zewnętrz, żadnego medium, którym docierałaby do opinii świata zachodniego, żadnego think tanku na „Zachodzie", żadnej fundacji, żadnych renomowanych ekspertów prawnych. Nic! Poszliśmy w ten bój bez broni, hu, ha! Nie mieliśmy broni prawnej, gospodarczej, dyplomatycznej.

Co gorsza, nie wiadomo dokładnie, o co się biliśmy, o jaki cel w Europie. Polska choruje na uwiąd „woli mocy" w polityce zagranicznej, jeśli myśli o swojej sile, o swojej władzy, to co najwyżej w regionie. Natomiast jeśli chodzi o „Zachód", polscy politycy (to znaczy ci, którzy chcą realizować polskie interesy) są często jak sparaliżowani, onieśmieleni. Nie wiemy, co chcemy osiągnąć poza Polską, nie mamy w Europie, na „Zachodzie" celów ofensywnych, które przyciągnęłyby do nas innych.

Czy polska kultura, nasze polityczne wartości i nasza polityka zagraniczna mogą kogoś z zewnątrz „uwieść", czy mogą być atrakcyjne dla innych? Obserwujemy wyraźny zwrot w polityce Zachodu, zarówno USA, jak i państw europejskich. Pod rosnącym naciskiem społeczeństw inaczej się dziś patrzy na masową migrację, na politykę klimatyczną, na miejsce sądownictwa w państwie. To kierunek, w którym do roku 2023 podążała Polska. Polska jest krajem o kulturze i wartościach podziwianych przez ludzi, mających dosyć swoich elit, mających dość unijnej centralizacji i kulturowej dekadencji. Czas, by polska polityka zagraniczna – gdy już minie ten smutny incydent, którym są rządy obecnej koalicji – odkryła i wykorzystała potencjał „miękkiej siły" Polski i sama stała się elementem tej siły jako „uzasadniona i posiadająca autorytet moralny".

POLSKA CHORUJE NA UWIĄD „WOLI MOCY" W POLITYCE ZAGRANICZNEJ, JEŚLI MYŚLI O SWOJEJ SILE, O SWOJEJ WŁADZY, TO CO NAJWYŻEJ W REGIONIE.

eprasa.pl d791689b9e

W tej inbie łączą się **dwa żywioły**: ludzkie wścibstwo, jak świat światem motywujące działania trochę poza prawem, a z pewnością wbrew dobrym obyczajom, oraz inwigilacja stosowana przez służby państwowe w celu wykrywania różnego rodzaju wykroczeń.

Monika Małkowska

Proj. K. Karnkowski

PODGLĄDACTWO vs. kultura

Tak, chodzi o Katarzynę Tusk-Cudny, rzekomo podsłuchiwaną przez Pegasusa, która w wyniku afery otrzymała status osoby pokrzywdzonej w powyższej sprawie. Nie za bardzo wiadomo, na czym ma polegać krzywda córki szefa rządu, ale cóż szkodzi zaszkodzić Jarosławowi Kaczyńskiemu i jego współpracownikom. Tak naprawdę inwigilowanym był Roman Giertych, w owym czasie pełnomocnik rodziny Donalda Tuska (oprócz córki Katarzyny także syna Michała) – zaś pani Tusk-Cudna była akurat jego klientką. Ale tajemnica adwokacka rzecz święta, jak tajemnica spowiedzi.

Bicie antypisowskiej piany

Obóz rządzący i jego media budują narrację inwigilowania Pegasusem „niewinnych ludzi", przemilczając zasługi systemu przy wykrywaniu mafii i udaremnianiu przekrętów. Ta „inwigilacyjna zabawka" została sprzedana służbom z całego świata, jednak tylko (?) u nas program

eprasa.pl d791689b9e

Pegasusa pozwala na przejęcie pełnej kontroli nad telefonem (połączenia, historia informacji, aplikacje oraz zdalnie uruchamiane kamera lub mikrofon), toteż polski premier podkręca emocje swoich wyborców: „To jest świństwo w sensie ludzkim i to jest bardzo poważne, gwałcące prawo i przyzwoitość działania". Jakby lewicowa opcja nie posługiwała się analogicznymi metodami, tylko bez podobnego nagłośnienia. Co by z tego nie wynikło w politycznym sensie, nie dajmy się wpuszczać w maliny: nie unikniemy infiltrowania prywatności na różnych poziomach od czasów, kiedy wynaleziono... dziurę w płocie.

Nieprzecięta pępowina

Od tej sceny zaczyna się oniryczna opowieść Witolda Gombrowicza o dojrzewaniu czy raczej niemożności osiągnięcia tego stanu. W „Ferdydurke" proces „upupiania" młodych ludzi to wieczna kuratela sprawowana przez matki (wdrażające w rodzinie nawyki według obowiązującego systemu społecznego bytowania). Rodzicielki zza płotu obserwują swoich dorosłejących synów, wciąż widząc w nich nieporadne maluchy –ten widoczny/niewidoczny nadzór pozwala zaś starszemu pokoleniu kształtować potomków na własne podobieństwo. A tym samym utrzymywać władzę oraz sprawstwo. Gombrowicz błyskotliwie ośmiesza ambiwalentny społecznie odbiór „podglądactwa": z jednej strony pozytywem jest dyskretne czuwanie nad poczynaniami młodych (lub innych „niepewnych" społecznie grup), z drugiej – infiltrowanie tych, którzy mają prawo do własnych sekretów, trąci paskudnym wścibstwem. Tego typu nadzór w niejednym przypadku z czasem przeradza się w obsesję kontrolowania otoczenia. Mniejsza, jeśli strażnik ogranicza się do rodziny i bliskich. Gorzej, gdy inspekcyjna pasja rozciąga się na coraz szersze grupy, aż obejmuje całe społeczeństwo. A już całkiem fatalnie, jeśli inwigilator pozostaje niewidoczny, lecz wyposażony we wszędobylskie oczy i uszy (Wielki Brat patrzy!), sterując ludzkimi poczynaniami zdalnie, jedynie głosem dobywającym się z różnych technicznych urządzeń. Ten rodzaj tresury wzbudza paniczny strach, eliminując wszelką spontaniczność i szczerość zachowań.

Od grozy do rozrywki

W literackiej fikcji George'a Orwella „Rok 1984" pojawia się postać Wielkiego Brata i nie jest to bynajmniej bohater wzbudzający sympatię. Przeciwnie, to uosobienie tyrana, który żąda uwielbienia, stosując psychiczny terror. Jego władza opiera się nie tylko na nadzorowaniu zachowań, również na kontrolowaniu oraz formatowaniu myśli i uczuć – czego najperfidniejszym przejawem staje się rytuał dwóch minut nienawiści. Powieść odbierano jako dystopijną metaforę systemu stalinowskiego (choć dopatrywano się też innych konotacji, niejedynie politycznych), którego Orwell stał się zagorzałym przeciwnikiem po tym, kiedy dane mu było osobiście zetknąć się z „kultem jednostki". Książkę przełożoną na język polski po raz pierwszy opublikowano w 1953 roku w paryskim Instytucie Literackim. PRL-owska cenzura skazała „Rok 1984" na niebyt, co oczywiście nie powstrzymało drugoobiegowej dystrybucji. Dopiero kiedy komunistyczny system zachwiał się w posadach, ukazało się oficjalne polskie wydanie (1988). Jednak o wiele wcześniej zakorzeniły się w naszym języku i świadomości niektóre terminy z Orwellowskiej prozy – takie jak myślozbrodnia, nieosoba czy powszechnie używane pojęcie nowomowy. W III RP Wielki Brat zawitał w niemal każdym domu za sprawą... telewizyjnego reality show. W 2001 roku „Big Brother" jako nowatorski format realizowany z rozmachem i dużą kasą zawładnął emocjami rodaków. Dość powiedzieć, że pierwszą edycję śledziło ok. 10 mln widzów, co ustawiło program na pierwszym miejscu wśród najchętniej oglądanych. A cóż takiego dane im było obserwować na ekranie? Przeciętniaków i ich zwyczajne życie. A dokładniej, jego pozory.

> OBÓZ RZĄDZĄCY I JEGO MEDIA BUDUJĄ NARRACJĘ INWIGILOWANIA PEGASUSEM „NIEWINNYCH LUDZI", PRZEMILCZAJĄC ZASŁUGI SYSTEMU PRZY WYKRYWANIU MAFII I UDAREMNIANIU PRZEKRĘTÓW.

Gen wścibstwa

W specjalnie zbudowanym budynku zamykano grupkę wyselekcjonowanych uczestników (do pierwszej edycji zgłosiło się niemal 10 tysięcy chętnych) na ponad trzy miesiące, gdzie mieli zachowywać się „normalnie" – poza tym, że wymagano od nich realizacji wytycznych niewidocznego Wielkiego Brata, który

eprasa.pl d791689b9e

przez głośniki wydawał uczestnikom polecenia. Szczególnych szykan nie było – wystarczała świadomość, że jest się nieustannie śledzonym przez niewidocznego hyperwizora, zaś największą obawą napełniały „przesłuchania" prowadzone przez tegoż nadzorcę w tzw. pokoju zwierzeń. Kto pękał psychicznie, odpadał; kto podpadł telewidzom, tego też eliminowano, aż do finału rozgrywanego pomiędzy trójką największych twardzieli. Obrazy „podglądactwa" życia w Domu Wielkiego Brata były do wglądu przez 16 godzin na dobę, 7 dni w tygodniu. I okazało się, że całkowicie banalne sytuacje oraz do bólu nijakie rozmowy wzbudzały masowe zainteresowanie, choć nie dostarczały ani wiedzy, ani atrakcji, ni sensacji. Do tego z urody bohaterom wiele brakowało; niewiele też wiadomo co do ich extra uzdolnień. Pokusę stanowiło samo podglądactwo „takich ludzi jak my".

Dreszczyk podglądactwa

Kiedy doszło do „uwznioślenia" voyeuryzmu, cechy postrzeganej negatywnie, a nawet traktowanej jako zaburzenie psychiczne? Moim zdaniem – stało się to za sprawą sztuki. Marcel Duchamp, ten przenikliwy znawca ludzkiej natury, prowokator, zarazem demiurg i szarlatan, przez ostatnie dwie dekady życia (w latach 1946–1966) pracował nad dziełem, które odkryto dopiero po jego śmierci. „Dane są" to instalacja z pracowni artysty, ukryta za drzwiami skleconymi z rozpadających się desek. To, co za nimi, można obejrzeć przez dwie wywiercone w nich dziurki. Kto chce zobaczyć, musi „podglądać". I wtedy widzi scenę niepokojącą, zarazem podniecającą: na pierwszym planie bezwstydnie rozkraczona naga baba, której rozstawione nogi i krocze stanowią punkt centralny aranżacji. Nie wiadomo – została dopiero co zgwałcona, może też zamordowana? Nie ma wyjaśnienia (choć dane i podejrzenia są), ale każdy, kto na to patrzy, musi poczuć się jak podglądacz. Tym perfidnym zabiegiem Duchamp obnażył/uświadomił niezdrowe emocje towarzyszące wdzieraniu się w cudzą intymność, prywatność, sferę tabu... No, ale tu jest jeszcze tajemnica i chęć jej rozkminienia. A co motywuje śledzenie snu?

Ujęci we śnie

W 1964 roku Andy Warhol zaprezentował ponad pięciogodzinną rejestrację pogrążonego we śnie Johna Giorno (kochanka Warhola). „Sleep" w wersji festiwalowo-ekskluzywnej został przycięty do kwadransa (widziałam i nawet tyle trudno wytrzymać). Pierwotnie Warhol proponował rejestrowany senny seans Brigitte Bardot, francuskiego symbolu seksu, lecz ta nie była w owym czasie dostępna – a może pomysł nie przypadł jej do gustu. Kilka lat później, na fali hippisowskiej gloryfikacji naturalnych skłonności człowieka, dyskrecja przestała być uważana za nieodzowną cechę osób „kulturalnych". Zbiegło się to z rozprzestrzenianiem się zjawiska paparazzich. Ci podglądacze z aparatami fotograficznymi, żyjący ze sprzedawania tabloidom zdjęć naruszających (często) prywatność prominentów, przez wiele lat byli pogardzani przez poważnych fotoreporterów. Paparazzim działalność ułatwił małoobrazkowy aparat leica, lecz z czasem doszły kolejne techniki i sposoby. Zdarza się, że paparazzi korzystają z technik operacyjnych analogicznych do tych, z których korzystają służby specjalne – i tu kłania się Pegasus. Ci fotoreporterzy „śledczy" posługują się często podsłuchem, prowokacją bądź zminiaturyzowanymi aparatami szpiegowskimi, umożliwiającymi wykonywanie fotek z ukrycia. Niekiedy też zdobywają informacje, korumpując osoby zatrudnione przez celebrytów i polityków.

> WCZEŚNIEJ LUDZIE TEŻ ZAGLĄDALI BLIŹNIM POD KOŁDRĘ – ALE Z POCZUCIEM GRZECHU.

Utrata wstydu

Tę zmianę w postrzeganiu paparazzich i podglądactwa wzięli na tapetę autorzy wystawy „Voyeurism, Surveillance and the Camera" w Tate Modern z 2010 roku. Co najmniej połowa z 250 wyeksponowanych tam fotografii trąciła klimatem brukowca. Ale właśnie jej celem było sprowokowanie dyskusji o współczesnej moralności. Całość materiału układała się w opowieść o... utracie wstydu. Proces, który dokonał się w imię demokracji, nowoczesności, tolerancji. Zaczęło się w międzywojniu, wraz ze spopularyzowaniem małoobrazkowej leiki. Jasne, że wcześniej ludzie też zaglądali bliźnim pod kołdrę – ale z poczuciem grzechu. Dziś obyczajowe hamulce znikły. Dla większości w podglądaniu nie ma nic nagannego. Winne temu są media. Ich obsesją stało się ujawnianie „prawdy" na każdym polu. Upublicznienie tego, co przed ludzkimi spojrzeniami było onegdaj strzeżone. Telewizyjne show, tabloidy, a przede wszystkim media społecznościowe – wszystko to sprawiło, że zatarły się granice między sztuką a obnażeniem, między artystą a byle właścicielem komórki. I między prawdą a pomówieniem.

eprasa.pl d791689b9e

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Chopin zaskoczył Warszawę

XIX Międzynarodowy Konkurs Chopinowski przeszedł do historii. Choć wzbudził on spore emocje i kontrowersje, to z oczywistych względów pominę te, które dotyczyły muzyki. Trudno w to uwierzyć, ale nie dało się nie odnieść wrażenia, że Warszawa, która organizuje ten niezwykle prestiżowy konkurs co pięć lat, w tym roku go po prostu przespała. I pełna odpowiedzialność spada tu na prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego.

Czy można być zaskoczonym wydarzeniem, które organizuje się cyklicznie? Okazuje się, że tak. Warszawę zaskoczył bowiem konkurs Chopinowski. Trudno uciec tu od złośliwego porównania do zimy i drogowców. Co pięć lat stolica jest na ustach wszystkich. I to nie tylko tych, którzy w jakimkolwiek stopniu interesują się muzyką Chopina, bo konkurs już dawno wykroczył poza te ramy. Do Warszawy, jak na każdy konkurs, zjechały się w tym roku tysiące melomanów. Problem w tym, że trudno było dostrzec, iż dzieje się coś niezwykłego.

Na lotnisku im. Fryderyka Chopina niemal żadnych plakatów, żadnego pianina czy innych nawiązań do trwającego konkursu. Na ulicach Warszawy podobnie. W mieście można było spotkać najróżniejsze reklamy, ale o jednym z najważniejszych wydarzeń kulturalnych świata praktycznie nie informowano. Ba, nie było nawet flag narodowych czy innych nawiązań do polskiej kultury, co mogłoby być doskonałą promocją naszego kraju.

Wisienką na torcie były jednak dwa remonty. Najsłynniejszy, symboliczny wręcz pomnik Chopina w Łazienkach został skrzętnie zasłonięty i ogrodzony. Przyznaję, że nie wiem, czy się bardziej śmiać, czy płakać na myśl, że ktoś wybrał taki moment na prace remontowe. Pół świata przyjeżdża oddać hołd Fryderykowi Chopinowi, a tymczasem odbijają się od ogrodzenia z tablicą „teren budowy". Trudno o bardziej wymowną metaforę naszego podejścia do kultury.

Nie lepiej było również w okolicy Filharmonii Narodowej, czyli serca konkursu. Wystarczyło przejść się ulicą Jasną, żeby zobaczyć melomanów zdążających na konkurs w slalomie między barierkami, kałużami i rozkopanymi krawężnikami. Turystom z Japonii czy Korei, którzy przybyli tu z pietyzmem właściwym pielgrzymom, zostaje doświadczenie bardziej survivalowe niż estetyczne. Przecież nic tak nie buduje wizerunku miasta kultury jak błoto i hałas koparki tuż obok sali koncertowej. Tego też nie można było przewidzieć i zaplanować, prawda?

Konkurs Chopinowski od lat robi to, czego nie potrafi niemal żadna kampania promocyjna – buduje pozytywny obraz Polski na świecie. Artyści, dziennikarze, publiczność – wszyscy mówią o klasie, o emocjach, o pięknie. Tymczasem władze Warszawy zachowują się tak, jakby obecność Rafała Trzaskowskiego w loży honorowej miała załatwić sprawę.

To jednak nie przypadek, lecz esencja zarządzania Warszawą przez ekipę Rafała Trzaskowskiego. Zero jakiegokolwiek planowania czy strategii, a wyłącznie działanie w myśl zasady „jakoś to będzie". Panie prezydencie – wstyd!

eprasa.pl d791689b9e

KULTURA

Czytaj też:
Jesień krótkometrażowa 52
Literackie upiory postkomuny 56

SPEŁNIAM SIĘ przez naturę

– To, co mnie wyróżnia, to odwaga do tego, żeby autentycznie wyrażać siebie i głęboko w siebie zaglądać – mówi **Evva Polak**, wokalistka, autorka tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Kim jesteś, dziewczyno? Skąd do nas przybyłaś? Co Cię sprowadza?
– To są dobre pytania. Sprowadza mnie Twoje zaproszenie.

– To sprecyzujmy.
– Nie lubię siebie definiować przez nazwisko. Zazwyczaj mówię, że jestem Ewa. Pilnuję tego, żeby być człowiekiem, który się spełnia. Jestem taką kobietą, która bardzo o to dba.

– Spełniasz się wyłącznie dzięki muzyce? A może spełniasz się przez życie?

Fot. arch.

eprasa.pl d791689b9e

Nowy singiel Evvy Polak „**Garden Again**” to oniryczna podróż przez dźwięki alternatywnego popu, w której emocjonalna głębia spotyka się z filmową przestrzenią. Utwór łączy nostalgię lat 90. z nowoczesną wrażliwością, tworząc muzyczny pomost między światami dźwięków znanych z twórczości Kate Bush, Florence + The Machine czy Aurory. To piosenka o nadziei, odradzaniu, sile i rytmie natury – muzyka, która zaprasza do wewnętrznego ogrodu pełnego światła i cienia.

– To jest bardzo bliskie temu, co mówisz. Przez życie na pewno. Przez sztukę, przez bycie przyjaciółką, przez bycie w relacjach, przez bycie mamą, bycie żoną. Artystką bywam i to jest dla mnie bardzo przyjemne i ważne. Muzyka, taniec, ruch, sztuka, ludzie – to jest dla mnie ważne. Natura – przez nią również się spełniam.

– Natura jest Twoją inspiracją?

– Natura daje mi zdrowie, uziemienie, pozwala mi zejść na ziemię. Mam szacunek do tego, co jest pierwotne. Natura daje mi zdrowie, ukojenie, oddech i regenerację. To są takie proste rzeczy, bez których długo nie pociągnę, i myślę, że nikt nie da rady tego zrobić. Czuję bardzo szybko, że bez natury ani rusz.

STRACIŁAM SŁUCH NA ROK I WTEDY MIAŁAM DUŻO CZASU NA PRZEMYŚLENIA, BO NIE SŁYSZAŁAM NIC OPRÓCZ SIEBIE.

– Co ma Evva Polak, czego nie mają inne piosenkarki?

– To jest dobre pytanie. Nie zastanawiałam się nad tym w ten sposób, bo bardzo się skupiam na sobie i myślę, że to jest dobry punkt wyjścia. Staram się kreować, a nie patrzeć na to, jakie są trendy. Mogę mieć doradców, mogę słuchać, jak czasami ktoś coś komentuje, ale ja sama skupiam się na swoich przeżyciach i na sobie. Mniemam, że to, co mnie wyróżnia, to odwaga do tego, żeby autentycznie wyrażać siebie i głęboko w siebie zaglądać.

– Skąd takie bardzo mocne podejście do „ja”?

– Mam takie podejście, że czym miałam nasiąknąć, to nasiąknęłam. Słucham dużo muzyki, otaczam się muzyką, sztuką, ludźmi, ale ufam temu, że gdzieś tam to we mnie osiada. Najważniejsze, żebym skupiła się na sobie i na tym, co chcę powiedzieć, co czuję, co przeżywam. Żeby to było autentyczne, bez przekombinowania. I to z tego wynika. Staram się szczerze i uczciwie wyrażać.

– Czym się zajmujesz poza muzyką?

– Zawsze zajmowałam się poezją, filozofią i psychologią. Te dziedziny są mi bliskie. Obecnie jestem bardzo oddana muzyce, rodzinie i bliskim relacjom.

– Czyli matka i artystka na pełen etat?

– Tak.

– Jakiej muzyki słuchają Twoje dzieci?

– Mój syn ma dziewięć lat i słucha Mozarta.

– Naprawdę?

– Tak. I Wojana.

– Pewnie kupowałaś mu napoje Wojanki?

– Nie, już moda na nie przeszła, teraz Wojan tworzy bity. Wracamy jeszcze do Majki Jeżowskiej.

– Skąd pomysł na muzykę taneczną?

– Bo było lato. Poczekaj jeszcze chwilę, zaskoczę Cię. Jesienią wydamy muzykę bardziej medytacyjną. Przed nami kolejne pory roku, moja muzyka jest różna. Do tego zmierzam, że my się nie ograniczamy. Słuchałam tak różnorodnej muzyki i mam w sobie taką paletę emocji, że nie sposób się ograniczać. Lubię bardzo różne gatunki: rap, trap, R'n'B, soul, ale też pop i muzykę taneczną. Dlaczego miałabym się szufladkować?

– Jakich raperów słuchasz?

– Rapu słuchałam w liceum. Był Kaliber 44, Tupac, Eminem.

– Czyli będziesz rapować?

– Niedługo wyjdzie utwór „It doesn't really matter”. Zrobiliśmy go z mozartowskim riffem przewodnim. Potem wszedł bardziej trapowy bit i ja tam zupełnie spontanicznie zaczęłam rapować.

– Dlaczego śpiewasz wyłącznie po angielsku?

– Nie mogę doczekać się wydania polskich utworów. Po angielsku miałam ochotę śpiewać. Myślałam, że to będzie coś, co mi wystarczy. I przyszedł do mnie taki głód języka polskiego, ponieważ przez to mogę być jeszcze bliżej emocji, bliżej ze słuchaczami. Uwielbiam to!

– Jaką głęboką mądrość niesie w sobie ciało?

– Bezwzględność.

– Co to oznacza?

– Możemy sobie różne rzeczy wmawiać, tłumaczyć, dopowiadać, czego nie ma, albo udawać sami przed sobą, że czegoś nie ma. Ciało ma bezwzględną mądrość. Jeżeli go słuchamy, to pokazuje nam, gdzie powinna być postawiona granica, czego nam brakuje, czego jest za dużo, czego mamy totalnie dość, czego już nie możemy wytrzymać, bo możemy przypłacić to zdrowiem albo życiem. ›

eprasa.pl d791689b9e

Taką właśnie ma w sobie mądrość, może nas prowadzić, jeśli mu zaufamy.

– Jak dbasz o ciało?
– Moją metodą jest łagodność. Tak to u mnie działa, że kiedy jestem dla siebie łagodna i zapytam siebie rano: co tam, co mi doskwiera, na co mam ochotę, co by było dla mnie dobre, to ono mi powie. Jeśli wszystko jest dobrze i go słucham, to powie mi, że chce odpocząć czy chce pohasać i wejść spontanicznie w jakiś ruch. Bardzo kocham sport. Mam naturę bardzo energiczną i ruchliwą. Jestem totalnym spacerowiczem. Mogę przespacerować całe miasto.

– Naprawdę?
– Tak. Mogę chodzić bez końca.

– To co jeszcze robisz poza chodzeniem?
– Taniec nowoczesny, współczesny. Kiedy byłam mała, to chciałam być baletnicą, lekarką, ale też udawałam, że odprawiam Mszę, i podobało mi się zbieranie na tacę [śmiech].

KIEDY BYŁAM MAŁA, TO CHCIAŁAM BYĆ BALETNICĄ, LEKARKĄ, ALE TEŻ UDAWAŁAM, ŻE ODPRAWIAM MSZĘ, I PODOBAŁO MI SIĘ ZBIERANIE NA TACĘ [ŚMIECH].

– Twoje inspiracje muzyczne to...?
– Pamiętam pierwsze trzy kasety, które dostałam, to było Ace of Base, 2 Unlimited i oczywiście Whitney Houston w białej bluzce w dżinsach, a później pierwszy VHS – Michaela Jacksona.

– Jest coś, czego nie robisz, albo coś, czego nie lubisz?
– Nie lubię słuchać ludzi, którzy kłamią i mówią bzdury. Uciekam od nich od razu. Tego nie lubię.

– Z kim chciałabyś nagrać utwór?
– Z Loreen i Anthonym Kiedisem z Red Hot Chilli Peppers.

Evva Polak

to artystka łącząca popowy feeling z otwartym podejściem do brzmienia. Traktuje ciało jako kompas twórczy reagujący na rytm, wibracje i emocje, prowadząc słuchacza w stronę spontanicznego ruchu. W swoich utworach Evva posługuje się różnymi gatunkami, a przykładowo tutaj łączy nowoczesny pop z elementami disco, funku i soulu, stawiając na czytelny groove, oddech aranżacji oraz melodie zaprojektowane pod taneczny vibe.

Wkrótce Evva Polak zaprezentuje kolejną muzyczną historię, będącą częścią cyklu „Jak przetrwać zimę". To będzie opowieść o integracji ciemności i światła na drodze ku wewnętrznej pełni.

– Czym jest dla Ciebie bezkompromisowość i czy jesteś bezkompromisowa?
– Szlachetnym wysiłkiem jest pójście na kompromis, kiedy za tym stoi wartość w postaci dbania o relacje w przyjaźni i w miłości. Jestem bezkompromisowa w wybieraniu ścieżki, której potrzebuje moja dusza. Kiedy taka nie byłam, to przypłacałam to zdrowiem. Po tym umówiłam się ze sobą, że nie będę sobie tego robić.

– Co się stało?
– W 2012 roku, kiedy daleko odeszłam od swoich marzeń i potrzeb, straciłam słuch na rok. Wtedy miałam dużo czasu na przemyślenia, bo nie słyszałam nic oprócz siebie. To był ważny czas. Zapamiętałam tę lekcję i do tej pory pamiętam, jak to jest, gdy zbaczasz ze swojej drogi. Mogłam przez rok wsłuchiwać się w siebie. Nic innego do mnie nie docierało.

– W którą stronę chcesz iść jako marka osobista?
– Mam bardzo jasną i prostą odpowiedź. Muzyka jest na pierwszym miejscu.

– Co sprawia Ci radość?
– Po raz kolejny powiem, że muzyka. To jest moja pasja. Nie chcę używać dużych słów, bo miłość jest u mnie zarezerwowana dla męża i syna. Ale radość sprawiają mi relacje i rozmowy z ludźmi, czyli to, co robimy teraz.

– Jakie emocje powinny towarzyszyć słuchaniu Twoich utworów?
– To już nie ode mnie zależy. Chociaż chciałabym, żeby moja muzyka podnosiła z trudnych emocji, a nie wciskała ludzi w fotel, w głębszego doła i bezradność.

– Czy na koniec naszej rozmowy mogłabyś się przedstawić ludziom, którzy Cię nie znają, w kilku zdaniach?
– Mój drogi Człowieku, bardzo wierzę w to, że można robić rzeczy dobre, z ogromną frajdą i szacunkiem do drugiego człowieka. Wierzę też, że można wzajemnie się wspierać, pomagać, przełamywać schematy, robić rzeczy nowatorskie. Masz do czynienia z wizjonerką, która bezczelnie wierzy w swoją wizję i ryzykuje, żeby sprawdzić, co z tej wizji wyjdzie, a co nie. Zapraszam.

eprasa.pl d791689b9e

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

TEDE – EP.ITAFIUM

WYD. TEDE ENTERPRISE/WIELKIE JOL

Mocny powrót do przeszłości. Tylko najstarsi górale pamiętają, jak raperzy bardzo aktywnie nagrywali płyty, w których ubliżali swoim przeciwnikom. Te pojedynki były ważnymi rozdziałami dla polskiej kultury hip-hopowej. Zarówno wcześniej, jak i teraz prym w nich wiedzie Tede. Starcia z Peją czy Płomieniem 81 były gorące jak lawa. Teraz na tapet jest wzięty Ten Typ Mes, który zaczepił Jacka w swoim kawałku. A ten uderzył z wielką mocą, i mamy EP-kę, która zadowoli fanów rapera oraz tych, którzy szukają dystansu w muzyce. Tu przykładem niech będzie utwór „Wyrocznie" z gościnnym udziałem Marcina Millera z Boysów [sic!]. Tam jest jeszcze jeden smaczek, ale to już sami sprawdzicie. Tede w formie. Polecam!

TEN TYP MES – BUKOWSKI

WYD. WŁASNE

A teraz mamy wcześniej wspomnianego przeze mnie Tego Typa Mesa, który dzięki beefowi z Tedem otrzymał olbrzymią promocję najnowszej płyty. Przejdźmy jednak do zawartości. Muzycznie? Bardzo przyjemnie, różnorodnie i klimatycznie. Bity wprowadzają duży luz, w którym gospodarz odnajduje się jak sprinter na bieżni. Jeżeli interpretujemy warstwę tekstową? No cóż... Technicznie – bardzo wysoki poziom. Zawartość? Opowiadanie wspominkowych historii połączonych z mocno egocentryczną przewózką, ale o to chodzi w rapie. Na pewno nie ma tutaj nudy. Piotrze, dissy odpuść, więcej śpiewania na własnych podkładach poproszę. Warto sprawdzić.

PRO8L3M – EX UMBRA AD LIBERTATEM

WYD. 2020

Sprawdzona marka po raz kolejny prezentuje nowy produkt. Szanowany przez wielu słuchaczy PRO8L3M potrafi pokazać różne muzyczne oblicza, które nie pozostawiają odbiorców obojętnych. Jak jest z najnowszą płytą? Zachowane charakterystyczne elementy w nawijce Oskara, Steez nie zamyka się w jednej szufladce w oparciu o skalę popularności. Swoje miejsce na krążku odnajdą zarówno starsi, jak i młodsi fani rapu. W dyskografii duetu były takie momenty, gdy zapętlali samych siebie, wykorzystując sprawdzone schematy. Teraz mamy przebicie i dawkę świeżej energii, a duety z Anitą Lipnicką czy Katarzyną Nosowską mogą dotrzeć do zupełnie innych słuchaczy. Głowy panów na pewno nie są zamknięte. Warto posłuchać!

FABIJAŃSKI, SIKORA – ANTHIDOTUM

WYD. WŁASNE

Takiego duetu nie było jeszcze w moim bingo. Aktorzy z muzycznym biglem. Twórcy, którzy są mocno nieprzewidywalni i odbiegający od wielu schematów, połączyli siły i dostarczyli nam „ANTHIDOTUM" na plastikowe brzmienia. Płyty nie da się przyporządkować do konkretnego gatunku muzycznego. Najłatwiej byłoby napisać – alternatywa, i sprawa byłaby wyjaśniona. Ale z szacunku do zawartości krążka nie chcę go spławić jednym słowem. Fabijański z Sikorą uzupełniają się znakomicie, wymieniają się światami, które wbrew pozorom są spójne. Krążek mocno energetyczny, wprost proporcjonalny do osobowości artystów. Koncerty będą miały olbrzymi ładunek emocjonalny. Płytę polecam, i to bardzo!

eprasa.pl d791689b9e

Jesień krótkometrażowa

W dniach 22–26 października w Warszawie odbyła się 24. już edycja festiwalu Międzynarodowe Forum Filmów Krótkometrażowych – CINEMAFORUM. To impreza wielowątkowa, podczas której obejrzeć można najlepsze, nagradzane na uznanych imprezach krótkie metraże z **całego świata** i produkcje biorące udział w festiwalowym konkursie, filmy, które na partnerskich festiwalach w Polsce zostały nominowane do Nagród im. Jana Machulskiego, wreszcie najciekawsze niezależne teledyski z ostatniego roku. Dodatkowo imprezie towarzyszą spotkania z twórcami, warsztaty i inne wydarzenia pomagające w integracji i edukacji środowiska zaczynających swoją artystyczną drogę filmowców.

Krzysztof Karnkowski

Historia festiwalu sięga początku obecnego stulecia i czasów, gdy produkcje młodych twórców kina były przede wszystkim częścią niezależnej (w wyniesionej jeszcze z czasów PRL nomenklaturze – amatorskiej) sceny filmowej. Przez lata proces powstawania filmów się profesjonalizował, naprzód szła technika, a wraz z nią dostępność wielu rozwiązań formalnych. Wzrastał udział produkcji powstających w ramach wyższych szkół filmowych, rosła wreszcie ranga samej imprezy zdobywającej sobie rozpoznawalność najpierw w kraju, a później na całym świecie poprzez sieć programów partnerskich i wymian. W tym roku widzowie zobaczyć mogli bloki krótkich metraży z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i państw skandynawskich, a także Indii, Australii i Singapuru. Dodatkowo podczas projekcji „Mistrzowie, mistrzynie” zobaczyliśmy interesujący francuski body-horror „Junior” z 2011 roku w reż. Julii Ducournau, zaledwie dwuminutową miniaturę „Mad” Jonathana Glazera z 1994 roku i film święcącego dziś triumfy za sprawą nagrodzonych na festiwalu w Gdyni „Ministrantów” Piotra Domalewskiego – „60 kilo niczego”. Ten ostatni tytuł warty jest uwagi jako bardzo ponury, przytłaczający obraz nielegalnego zatrudnienia przede wszystkim obcokrajowców w Polsce. Kilka lat temu głośno było o przypadku śmierci pozostawionego bez pomocy zatrudnionego na czar-

Fot. Adobe Stock

no pracownika na przystanku autobusowym na polskiej prowincji. Tu oglądamy kluczową dla budowy autostrady i funkcjonowania całego regionu kopalnię, w której panuje powszechna zmowa milczenia i obojętność na losy podwładnych i kolegów. Nowo zatrudniony kierownik, niezdający sobie sprawy ze specyfiki miejsca, do którego trafił, próbuje ratować ofiarę wypadku i zderza się ze ścianą obojętności załogi i wściekłości przełożonych. Podczas dyskusji po projekcji dowiedzieliśmy się, że sytuacja w ostatnich latach uległa jedynie pogorszeniu, a wiele kluczowych i sztandarowych inwestycji samorządowych wciąż opiera się w jakimś stopniu na podobnych patologiach, co pogłębiło jedynie pesymistyczną wymowę filmu zrealizowanego w (pozornie) zupełnie innej sytuacji, w 2017 roku.

Na łamach „Tygodnika Solidarność" miałem okazję pisać już o festiwalach Kameralne Lato i Freedom Film Festival w Radomiu oraz WAMA w Olsztynie. To podczas tych imprez, a także festiwali odbywających się w cyklu od jesieni do jesieni w Gnieźnie, Jeleniej Górze, Łodzi, Koninie i Nowej Soli, przez jurorów wybierane są filmy nominowane do Nagród im. Jana Machulskiego. Jurorzy nominują produkcje w kategoriach najlepszych: reżyserii, scenariusza, zdjęć, montażu, aktorki, aktora i animacji, a spośród wszystkich nominowanych wybierany jest najlepszy film. Tę nagrodę zdobył „Cud" – nominowany za najlepszy montaż film Ewy Borysewicz. To połączenie animacji i gry aktorskiej, obraz pełen odniesień i sprawiający wrażenie ambitnego, mieszającego w sobie wątki biblijne (według opisu jest to opowieść o Maryi i Józefie przerażonym perspektywą ojcostwa, na którym zmianę zachowania wymusza boska interwencja), feministyczne czy obyczajowe. Niektóre jego aspekty można odebrać nawet jako wypowiedź pro-life (bohaterka wbrew mężowi nie chce pozbyć się dziecka). Choć faktycznie produkcja jest imponująca, całość sprawia wrażenie lekko chaotycznej i tak naprawdę pozbawionej głównej myśli, którą zastępują kolejne próby zrobienia wrażenia na widzu. Z drugiej strony, nie można jednak nie zauważyć, że w próby te włożono bardzo wiele pracy i pomysłów. Problem, który mam z tym filmem i jego jednoznaczną oceną, pomijając oczywiście dość kontrowersyjne wykorzystanie motywów biblijnych, najlepiej oddają komentarze innych widzów zamieszczone na Filmwebie. „Eksperymentalna forma nie zamaskuje pretensjonalności fabularnej" – pisze ~Bioluminescencja Fitoplanktonu. Większość oceniających „Cud" internautów, uczestników wcześniejszych festiwali, na których pokazywano ten obraz, zauważa pracę włożoną w ten film. Równocześnie jednak narzeka na nieprzekonującą fabułę, a nawet na długość, choć przecież trwa on jedynie niecałe 30 minut. Czy więc faktycznie mamy do czynienia z najlepszym filmem tegorocznej edycji? Cóż, ograniczę się do stwierdzenia, że w tym przypadku werdykt jury wydaje się dość dyskusyjny.

ZAINTERESOWANIA FILMOWCÓW POKAZUJĄ NAM, JAK ZMIENIA SIĘ SPOŁECZEŃSTWO I CO MOŻE NAM UMYKAĆ.

Nagrodę za najlepszą reżyserię, za film „Pomarańcza z Jaffy", dostał urodzony w Gazie absolwent łódzkiej filmówki Mohammed Almughanni. Jak nietrudno się domyślić, film jest reakcją na rozgrywający się od lat w rodzinnych stronach twórcy dramat. „Pomarańcza" wcześniej zdobyła Grand Prix na festiwalu

w Clermont-Ferrand we Francji, gdzie została pokazana po raz pierwszy, a także wiele nagród w Polsce. Jak mówił sam reżyser Sławomirowi Kalwinkowi z podcastu „Filmowa Migawka" Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, był niejako skazany na taką tematykę. – Od 75 lat Palestyna żyje w konflikcie. Nie wybierałem tego tematu – on jest częścią mojego życia. W Palestynie polityka przenika codzienność: transport, filmowanie, budowę scenografii. Wszystko jest związane z okupacją. Nie da się od tego odciąć. Jak mówi Almughanni: – „Pomarańcza z Jaffy" [...] to opowieść o codziennym życiu pod okupacją, o podróży syna do matki przez checkpoint. To inna skala cierpienia niż to, co dzieje się dziś w Gazie. Dziś to czyste ludobójstwo". Film nominowany był także za najlepsze zdjęcia rozgrywające się w klaustrofobicznej, zamkniętej przestrzeni taksówki i posterunku.

Nagroda za najlepszy scenariusz przypadła opisywanemu już przeze mnie filmowi „Ave Eva" Agnieszki Nowosielskiej, który pokazując bardzo trudne zagadnienie seksualności osób niepełnosprawnych umysłowo, wywoływał spore poruszenie na kolejnych imprezach filmowych, zdobywając liczne nagrody. Odtwórczyni głównej roli Zofia Zoń uznana została za najlepszą aktorkę. Mateusz Czuchnowski dostał nagrodę za najlepsze zdjęcia („Granica", reż. Maria Magriel) – tu również pojawia się temat przejścia granicznego, tym razem pomiędzy Polską a Ukrainą, a Tomasz Kajetan Naruszewicz za najlepszy montaż („Serwis", reż. Michał Edelman). Za najlepszy film dokumentalny uznano pokazującego ujętą w dłuższym planie czasowym historię chłopaków z poprawczaka, czyli „Świeżaka" Michała Edelmana i Tomasza Pawlika, natomiast za najlepszą animację – „Jak być męczennikiem" Maksymiliana Rzontkowskiego.

Kilka słów więcej warto poświęcić filmowi „Stymulanty i empatogeny" Mateusza Pacewicza, wygranemu podczas olsztyńskiego festiwalu WAMA, tym razem docenionego tytułem najlepszego aktora dla Michała Murawskiego. To szalona historia, w której odnaleźć można klimat dawnych niezależnych produkcji, zabawna, buntownicza i niepoprawna politycznie. Pacewicz pokazuje pozornie idealną i tolerancyjną współczesną rodzinę, aspirującą do miana elity, ulegającą kolejnym modom i obsesjom (bardzo zręcznie pokazano w filmie specyficzną „ukrainomanię" rodziców bohatera), a zarazem wybitą z rytmu życiowymi i uczuciowymi wyborami syna. Podobny klimat znajdziemy w nienagrodzonej – niestety – „Szybkiej akcji" Mateusza Mirczyńskiego, anarchicznej i szalonej opowieści o młodym dealerze, jego kuzynie kibicu i ich zderzeniach z prawdziwie złymi i nienormalnymi bohaterami. Bez nagród zostało też kilka innych filmów, na które warto zwrócić uwagę – choćby zabawne „Wyrazy bliskoznaczne" Filipa Rudnickiego, w którym wręczony przez dziadka słownik okazuje się być bombą podłożoną pod rodzinne przyjęcie urodzinowe. A wystarczy, że synek otworzy księgę na słowie „zdrada".

CIESZY WRESZCIE, ŻE WCIĄŻ JEST TROCHĘ MŁODZIEŃCZYCH FILMÓW O RÓWNIE MŁODZIEŃCZYCH MIŁOŚCIACH I ZAUROCZENIACH.

Jak zawsze w nowych filmach młodych twórców poza interesującymi zabiegami formalnymi i prawie zawsze wysokim już dziś poziomem artystycznym znajdziemy ciekawe wskazówki na tematy społeczne i socjologiczne. Zainteresowania filmowców pokazują nam, jak zmienia się społeczeństwo i co może nam umykać. Oczywiście na bardzo wielu filmach cieniem kładzie się wojna na Ukrainie. Jej echa widzimy w „Granicy", smutnej historii matki, która zderza się z bezdusznością celników, ale i z obcością własnych dzieci, które zostawiła, wyjeżdżając do Polski, by pracować. Jeszcze ciemniejsze barwy mają uhonorowane nagrodą specjalną „Ludzie i rzeczy" Damiana Kosowskiego – opowieści z niedalekiej przyszłości, w której bohaterka nie może pogodzić się ze śmiercią ekshumowanego (po wojnie?) męża. W filmach tych widać, jak bardzo wielokulturowym społeczeństwem się stajemy. Poza częstymi wątkami ukraińskimi dostajemy też historie dotyczące Wietnamczyków i ich sposobów na asymilację, a zarazem łączenie życia w nowoczesnym, zmieniającym się świecie z dużo bardziej konserwatywnymi zwyczajami pokolenia rodziców. Temat ten porusza „Entropia" Anny Fam-Rieskaniemi, którą chwaliłem już, pisząc

MAMY TEŻ OPOWIEŚCI DOTYKAJĄCE TEMATU KRYZYSU NA NASZEJ WSCHODNIEJ GRANICY I SZERZEJ – INSPIROWANE MIGRACJĄ.

eprasa.pl d791689b9e

relację z festiwalu w Radomiu, a także „Hajfongpol” Leona Korzyńskiego. Oba filmy pokazują różną drogę radzenia sobie i zrywania z oczekiwaniami. Mamy też opowieści dotykające tematu kryzysu na naszej wschodniej granicy i szerzej –inspirowane migracją, zbieżne na ogół z bardziej lewicowym spojrzeniem na ten temat, unikające jednak tandetnej łopatologii (jak utrzymane w estetyce horroru „Przybieżeli” Bartosza Brzezińskiego i wspomniana już „Granica” utrzymana w stylistyce dramatu obyczajowego). Co ciekawe, kolejny raz powraca też PRL malowany w dość ciemnych barwach. Film „Siła oporu” Elżbiety Benkowskiej pokazuje proces osaczania młodej aktorki (Lena Góra) przez Służbę Bezpieczeństwa, która chce zmusić ją do współpracy, wykorzystując do tego celu zatrzymanie jej męża i ciężką chorobę czekającego na operację ojca. Niestety, w scenariuszu widzimy kilka niekonsekwencji i osadzonych raczej w dzisiejszych strategiach protestów społecznych rozwiązań, które zaskoczyć mogą pamiętających tamte czasy, na plus jednak zapisać trzeba bardzo krytyczne podejście do służb i rzeczywistości PRL oraz przypomnienie, że Jerzy Urban nie zawsze i nie dla wszystkich był tylko śmiesznym dziadkiem od memów i filmików. Cieszy wreszcie, że wciąż jest trochę młodzieńczych filmów o równie młodzieńczych miłościach i zauroczeniach („Nic poważnego” Kamila Czudeja z bardzo dobrymi rolami Izabelli Dudziak i Mateusza Więcławka oraz „Przegryw” Aleksandry Kutsen). Z dokumentów chciałbym zwrócić uwagę na „Christmas special” Igi Krasuskiej, w którym w świątecznej scenerii dochodzi najpierw do odkrycia przed będącą centralną postacią filmu córką rodzinnych tajemnic i przyczyn rozwodu jej rodziców, a następnie do ponownego spotkania z nieobecnym w jej życiu ojcem.

Grand Prix Międzynarodowego Konkursu Krótkometrażowych Filmów Fabularnych otrzymał film „The Man Who Could Not Remain Silent” w reżyserii Nebojšy Slijepčevicia. To poruszająca, zaledwie piętnastominutowa opowieść poświęcona pamięci Tomo Buzova, emerytowanego jugosłowiańskiego oficera pochodzenia chorwackiego, który nie godząc się na zachowanie serbskich żołnierzy podczas kontroli wojskowej w pociągu, którym jechał, by spotkać się ze służącym w armii synem, po krótkiej wymianie zdań z młodszym wojskowym został wyprowadzony z pociągu, po czym oddał życie za muzułmańskiego współpasażera. Film Slijepčevicia dostępny jest na stronach telewizji Arte, również z napisami w języku polskim. Nagrodę publiczności otrzymał natomiast hiszpański obraz „The Prince” w reżyserii Alexa Sardy opowiadający o młodym beztroskim tancerzu, który niespodziewanie musi zmierzyć się z konsekwencjami oskarżenia o korupcję, które zostaje postawione jego ojcu.

POZA CZĘSTYMI WĄTKAMI UKRAIŃSKIMI DOSTAJEMY TEŻ HISTORIE DOTYCZĄCE WIETNAMCZYKÓW I ICH SPOSOBÓW NA ASYMILACJĘ.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl d791689b9e

Literackie upiory postkomuny

Wojciech Chmielewski napisał swoją jak dotąd **najobszerniejszą powieść**. I najostrzejszą w wymowie. „Księżyc ma zapach Warszawy” to jedno wielkie oskarżenie Polski pookrągłostołowej. Premiera książki już w listopadzie.

Jarosław Jakubowski

Okładka książki

Rys. Krzysztof Dubiel / Instytut Książki

eprasa.pl d791689b9e

Nietypowa to powieść w dorobku tego urodzonego w 1969 r. prozaika, rozpięta między nieodległą przeszłością a daleką przyszłością. Już w powieści „Belweder gryzie w rękę" Chmielewski zasygnalizował, że interesuje go namysł nad tym, co może się wydarzyć. Teraz rozwinął swoją wizję.

Studenci pod armatą

Akcja najnowszej książki, która 18 listopada ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, rozgrywa się w dwu planach czasowych – w latach 1988–1993 oraz w XXIII wieku. Łączy je Warszawa. Ta z lat polskiej transformacji jest szara i biedna, ale szybko budzi się do kapitalistycznego życia. Zaczyna kwitnąć handel, Jarmark Europa na Stadionie Dziesięciolecia rozbrzmiewa wielojęzycznym tłumem sprzedawców i kupujących. Poznajemy grupę studentów historii Uniwersytetu Warszawskiego skupionych wokół Jacka, dotkniętego niepełnosprawnością, ale charyzmatycznego chłopaka, który „kocha Polskę. Zupełnie naturalnie, wielką miłością, oczywistą jak łyk piwa na ławce w parku albo pod armatą".

Tak mówi o nim Nadieżda Borysowna Chabrowa, żyjąca w Warszawie trzysta lat później, badaczka dziejów Polski w Instytucie Historycznym imienia Żanny Kormanowej (postać autentyczna, odpowiadała za stalinizację polskich nauk historycznych). Przy pomocy Chińskich Okularów Nadia odbiera emocje ludzi sprzed trzech wieków i spisuje ich losy. Młoda kobieta jest Polką, a właściwie „rusko-Polką", bo Polski już nie ma, wchłonęła ją Wieczna Rosja, rządzona przez Cara z Moskwy. Drugim mocarstwem, z którym Rosja wojuje, jest Państwo Ludowe Środka, czyli Chiny. Taki globalny układ sił wyłonił się po Wielkiej Wojnie Imperialnej z lat 2085–2098. Dawna stolica Polski w XXIII wieku to miasto piękne i nowoczesne, a przy tym całkowicie zrusyfikowane.

Przeszłość kontra przyszłość

Chmielewski śmiało sięga po rekwizytorium literatury science fiction, malując skądinąd wspaniałe opisy Warszawy przyszłości, a także lotów na Księżyc, jednak głównym tematem jego najnowszej powieści pozostaje Polska przepoczwarzająca się z PRL w III RP. Zmiany widziane oczami rozpolitykowanych studentów historii początkowo napawają nadzieją, szybko jednak ustępuje ona rozczarowaniu, frustracji, wściekłości. „[...] obserwowali, jak ci wszyscy, którym dotąd przez lata ufali, opozycja, żeromszczycy, uczniowie Gajowca, twórcy tak zwanej niezależnej kultury, w momencie przepoczwarzania się ciemięzcy w brylującego na salonach Europejczyka nie ujęli się za najsłabszymi, za tymi, którzy przez lata bezwzględnie ich wspierali: robotnikami, chłopami, duchowieństwem katolickim, biedotą z miast. Zawiedli. Wybrali picie wódeczki i łyskacza z czerwonymi, ucałowali się, polecieli w ślinkę z języczkiem".

Stronnictwo ugody z dawną nomenklaturą zyskało potężnego sojusznika – ogólnopolski dziennik powstały w 1989 r. „Po krótkim czasie stał się tubą propagandową opcji, która szermując etosem dawnej opozycji antykomunistycznej, po cichu dobijała targu z postkomuną i na potęgę broniła ubeków, gdzie się tylko dało". Na domiar złego uniwersytet, szczególnie wydział historii, pełen jest wykładowców „z czerwonym podniebieniem". Zamiast dekomunizacji i lustracji – wzmacnianie „lewej nogi" i umizgi dawnych elit solidarnościowych do postkomuny. Nic dziwnego, że toczone najczęściej w alkoholowych oparach dysputy studentów stają się coraz bardziej radykalne, jak postulat Jurka, jednego z kolegów głównego bohatera:

„Ten kraj musi spłynąć krwią. Ludzie, zwykli ludzie, powinni rzucić się na komunistów i wyrżnąć ich wszystkich razem z ich rodzinami i pomiotem. A z czaszek usypywać wieże jak wojska Tamerlana po zdobyciu miasta, tu w Warszawie, żeby cały świat wiedział, jak się rżnie komunę. I żeby psy rozwłóczyły ich ścierwo po ulicach, o tu, po Krakowskim Przedmieściu. Cała Warszawa powinna spłynąć krwią czerwonych. Po wymordowaniu lekko na moje oko miliona dopiero zaczęłoby się tu tworzyć nowe państwo, oczyszczone ze zdrajców, kapusiów, bo jeśli się ich nie wymorduje, to nadal będziemy tkwić w gównie jak za komuny".

> ***Warto było chyba dać literackie świadectwo temu ponuremu okresowi w naszych dziejach, w którym nasze elity zmarnowały dorobek Solidarności.***
>
> WOJCIECH CHMIELEWSKI

Gady i płazy transformacji

Tyle że to wciąż tylko słowa, gorące i szczere, ale jednak – słowa. Studia, to „ruchome święto", prędzej czy później muszą dobiec końca, a wraz z nimi młodzieńcze porywy. Dla jednych nadchodzi mała stabilizacja, dla innych, a jest wśród nich niespokojny duchem Jacek – dalsze poszukiwanie swego miejsca w życiu. Opowieść o studenckiej ferajnie kończy się jesienią 1993 roku, gdy postkomuniści, ledwie po czteroletniej „hibernacji", wracają do władzy w Polsce. Za dwa lata układ się domknie wraz z początkiem prezydentury dawnego aparatczyka, który zasłynie z pijanych pląsów na polskich grobach w Charkowie. Dużo zmienia się

eprasa.pl d791689b9e

też w życiu Nadii, ale warto (i to bardzo!) zagłębić się w tę powieść, żeby samemu przekonać się o kunszcie narracyjnym autora.

Chmielewski pisze – jak z górą sto lat przed nim Stefan Żeromski – po to, żeby „rozrywać rany polskie, żeby się nie zabliźniły błoną podłości". To cytat z dramatu „Sułkowski", mottem powieści warszawianina są słowa z poruszającego opowiadania „Na probostwie w Wyszkowie": „Jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzeliśmy obmierzłe rojowisko gadów i płazów". Nad całym utworem unosi się zaś duch „Przedwiośnia", powieści, która u progu II RP stanowiła gorzkie memento. Mało, zadziwiająco mało w naszej literaturze współczesnej tak wyraziście krytycznych jak u warszawianina diagnoz polskiej transformacji i zjawiska postkomunizmu.

– Zawsze uważałem się za antykomunistę, dlatego martwi mnie i zastanawia popularność komunizmu wśród bardzo młodych pisarzy, poetów. Rozumiem, że to taka młodzieńcza poza, bunt, zgrywa. Ale z drugiej strony trochę martwi, że kłamstwo, którym był i jest komunizm, wciąż ma jakąś siłę przyciągającą, mimo tylu tragedii i śmierci, które za sobą niósł, zwłaszcza w Polsce. Nie tworzę antykomunistycznych manifestów, raczej opisuję zło, które zdarzyło się za sprawą komuny, a jeszcze ściślej – poranionych komuną ludzi – mówi Wojciech Chmielewski.

„Księżyc ma zapach Warszawy" jest powrotem pisarza do miasta sprzed ok. 35 lat, które dobrze pamięta. To także **oszałamiająca wizja** Warszawy przyszłości.

Zmarnowany etos

„Księżyc ma zapach Warszawy", jak każda dystopia, jest nie tylko wizją futurologiczną, lecz przede wszystkim ostrzeżeniem. Perspektywa Nadii, śledzącej perypetie grupy warszawskich studentów na sto lat przed kataklizmem wojennym i ponowną utratą przez Polskę państwowości, każe zastanowić się nad tym, czy obecnie polskie sprawy biegną właściwym torem i czy robimy wszystko, aby zapewnić naszemu krajowi bezpieczną przyszłość. Zdaniem pisarza, okres 1988–1993, na którym się skupia w części historycznej swojej powieści, powinien być dla nas lekcją do odrobienia.

– Postkomunizm to zjawisko, które dotknęło wszystkich Polaków. Warto było chyba dać literackie świadectwo temu ponuremu okresowi w naszych dziejach, w którym nasze elity zmarnowały dorobek Solidarności, a także tzw. etos, rozmieniając go na gierki z komuną. Dlaczego tak się stało? Próbuję na to odpowiedzieć w książce, z jakim rezultatem, niech ocenią czytelnicy. Ale temat wydaje mi się ważny, zwłaszcza że skutki postkomunizmu odczuwamy do dzisiaj – tłumaczy pisarz swoją ideę.

Co warte podkreślenia, Chmielewski, mimo że bezkompromisowy wobec oportunizmu elit, z empatią podchodzi do swoich bohaterów. Opisuje ich i sytuacje z ich życia. Nie wystawia im ocen moralnych, pozostawiając to czytelnikom. Podziela w tym pogląd jednego ze swoich ulubionych pisarzy – Izaaka Baszewisa Singera, który twierdził, że kiedy pisarz zaczyna tłumaczyć zbyt wiele, to nawet nie zdąży zacząć.

Choć „Księżyc..." jest powieścią historyczno-futurologiczną, pisarz pozostaje w niej realistą. Realizm jest dla niego wyborem estetycznym, w ramach którego wciąż znajduje nowe możliwości wyrazu. Tak samo jak trudna i wymagająca forma opowiadania, której Chmielewski jest wierny – z przerwami na powieści – od momentu debiutu. Był nim tom opowiadań „Biały bokser" w 2006 roku, zaś podsumowujący dotychczasowy dorobek autora wybór 31 krótkich form prozatorskich pt. „Obcy diabeł" ukazał się w 2023 roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Warszawa jak kopalnia złota

W tym okresie Chmielewski wyrósł na jednego z najważniejszych polskich prozaików, co potwierdziło wyróżnienie w VI edycji Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza za tom „Biały bokser" czy zwycięstwo w pierwszej edycji Nagrody Literackiej im. Marka Nowakowskiego dla autorów opowiadań (2017). Ten drugi laur jest znaczący również ze względu na zmarłego w 2014 roku patrona, którego Chmielewski znał i którego pisarstwo bardzo ceni. – Ale nie czuję się kontynuatorem Nowakowskiego. Jego pisarstwo jest jedyne w swoim rodzaju i takie pozostanie – zaznacza pisarz.

Tym jednak, co łączy autora „Księżyca..." z Nowakowskim, ale też z Singerem, jest ukochane miasto. – Od urodzenia mieszkam w Warszawie i wydaje mi się, że opisywanie miejsc, które dobrze się zna, jest najbardziej naturalne i autentyczne. Znowu odwołam się do Singera, który uważał ulicę Krochmalną za swoją „kopalnię złota", w której zawsze jest coś do odkrycia, dlatego niemal w każdej książce powracał do miejsc znanych mu z młodości i dzieciństwa – mówi autor „Magicznego światła miasta", tomu opowiadań w całości poświęconemu Warszawie.

„Księżyc ma zapach Warszawy" jest powrotem pisarza do miasta sprzed około trzydziestu pięciu lat, które dobrze pamięta. To także oszałamiająca wizja Warszawy przyszłości. Czy spełni się ambiwalentna przepowiednia rozkwitu metropolii nad Wisłą kosztem utraty niepodległości na rzecz „Wiecznej Rosji"? Oby nie.

eprasa.pl d791689b9e

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

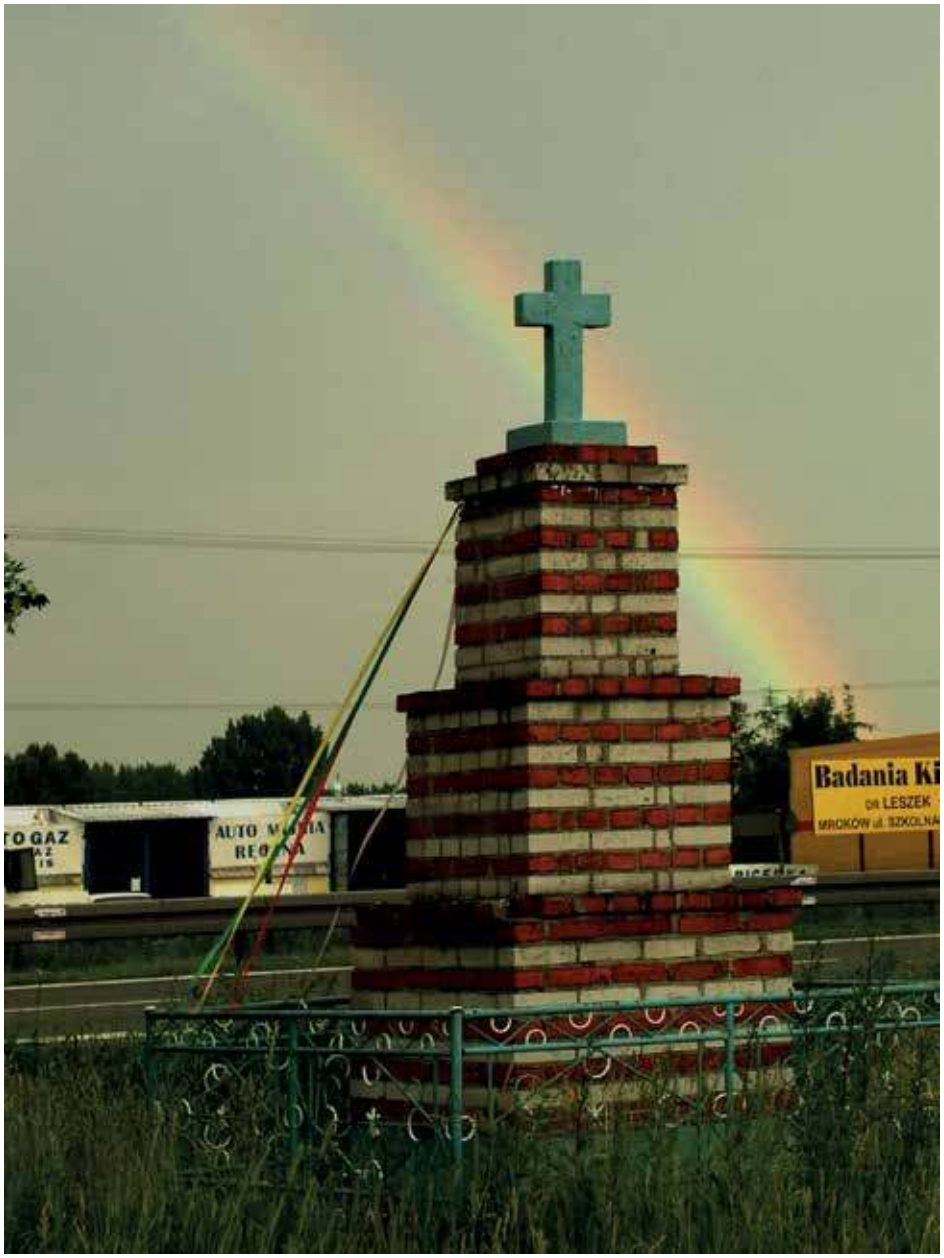

Basia: – Za nami Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki. No to dziś kapliczka.

Tomek: – Kilka lat temu szedłem od strony Paroli częściowo wzdłuż rzeczki Utraty. Napotkałem, pamiętam, po drodze ćwiczących strażaków, młodych chłopców, którzy trenowali w przerwie między alarmami. Im też zrobiłem zdjęcia.

– A kapliczka?

– Była przy szosie niedaleko Nadarzyna. Z daleka zobaczyłem tęczę. Drugie foto, już z bliska, zrobiłem z tęczą nad kapliczką.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl d791689b9e

Ambasador OBCYCH

Kiedy astronom Avi Loeb w 2017 roku, jako dziekan astronomii na Uniwersytecie Harvarda, położył na szali swój naukowy dorobek, publicznie oświadczając, że przelatująca przez Układ Słoneczny planetoida Oumuamua jest najprawdopodobniej statkiem zbudowanym przez **inną cywilizację**, jego teoria natychmiast zdobyła wielu zwolenników, a pochodzeniem obiektu zajmowała się m.in. Międzynarodowa Unia Astronomiczna.

Paweł Pietkun

Dyskusje na temat możliwości znalezienia innych cywilizacji dzięki jego teoriom znów wróciły do astronomicznych kuluarów, setki obserwatorów zaś odważyło się ponownie głośno mówić o możliwości ewentualnego kontaktu z inną niż nasza cywilizacją.

Kosmiczne odległości

Dzisiaj Avi Loe jest profesorem nauk ścisłych na Harvardzie i piastuje prestiżowe stanowisko dyrektora Instytutu Teorii i Obliczeń w Centrum Astrofizyki uniwersytetu, jednego z najważniejszych astrofizycznych centrów nauki zachodniego świata. Jego książka „Pozaziemskie. Pierwsze ślady życia rozumnego poza Ziemią", w której publikuje argumenty na rzecz sztucznego pochodzenia sławnej asteroidy – te same, których użył, przedstawiając swoją teorię światu nauki – jest jedną z najlepiej sprzedających się książek popularnonaukowych ostatnich lat i stanowi dowód na to, jak niewiele wciąż wiemy o Wszechświecie i jak odważnie w ostatnich dekadach wykluczyliśmy możliwość istnienia rozwiniętych cywilizacji w bezpośrednim – oczywiście w astronomicznej skali odległości – sąsiedztwie naszego kosmicznego domu. Tymczasem okazuje się, że takich przybyszów z innych światów może być znacznie więcej – jednego z nich możemy od niedawna oglądać na naszym niebie.

DYSKUSJE NA TEMAT MOŻLIWOŚCI ZNALEZIENIA INNYCH CYWILIZACJI DZIĘKI TEORIOM AVIEGO LOEBA ZNÓW WRÓCIŁY DO ASTRONOMICZNYCH KULUARÓW.

Zresztą sam Loeb – nierzadko określany przez swoich studentów jako ambasador obcych – na wykładach i w swojej książce zastrzega, że nawet jeżeli asteroida Oumuamua czy inne obiekty tego typu odwiedzające Układ Słoneczny są pochodzenia pozaziemskiego i są obiektami zbudowanymi przez cywilizację techniczną, nie zaś takimi, które powstały wskutek ewolucji jednego z licznych układów planetarnych w naszej galaktyce (obecnie obserwacyjnie wykryto ponad 5 tysięcy takich układów – jednak większość planet w tych układach wyklucza istnienie na nich życia typu ziemskiego), to mogą one być jedynie artefaktami cywilizacji, która już dawno wymarła. Świadczą o tym liczby i odległości.

Najdalsze planety pozasłoneczne odkrywamy na peryferiach naszej galaktyki, której średnica szacowana jest na 120 tys. lat świetlnych. Oznacza to, że światło ich gwiazd, które możemy dzisiaj obserwować, opuściło swoje światy 120 tysięcy lat temu – to trzy-

eprasa.pl d791689b9e

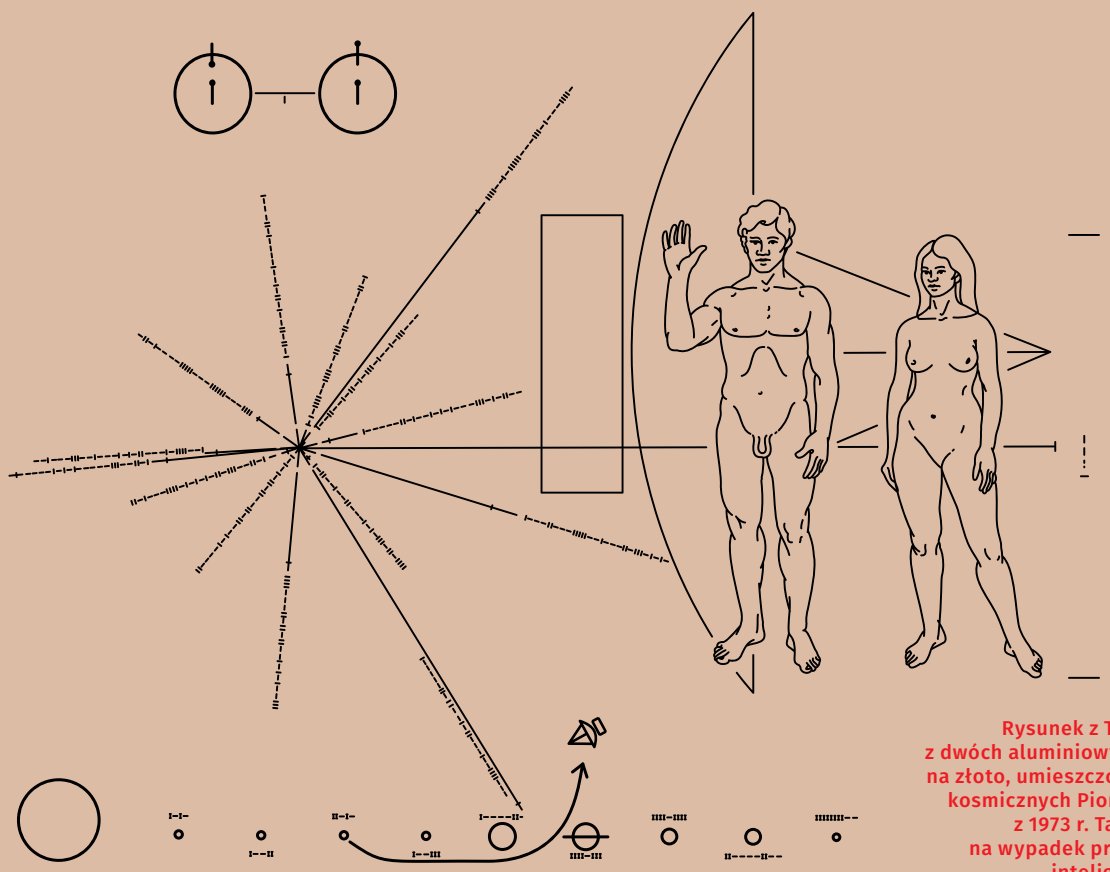

Rysunek z Tabliczki Pioneera – jedenej z dwóch aluminiowych tabliczek anodowanych na złoto, umieszczonych na pokładzie statków kosmicznych Pioneer 10 z 1972 r. i Pioneer 11 z 1973 r. Tabliczki zawierają ilustrację na wypadek przechwycenia statków przez inteligentne istoty pozaziemskie.

Rys. Wikimedia Commons

krotnie dłużej niż istnienie cywilizacji ludzkich, choć sam nasz gatunek może mieć, jak wykazują badania genetyczne, nawet 300 tys. lat.

Jednak wciąż mówimy o odległości pokonywanej przez światło i każde promieniowanie elektromagnetyczne. W żadnym odkrytym przez nas układzie planetarnym nie udało się wykryć sygnałów radiowych, które świadczyłyby o istnieniu w nim cywilizacji technicznej. Obiekt tak ciężki jak Oumuamua, której masa szacowana jest na 33 miliardy ton (choć są to szacunki ostrożne, bo ze względu na nieznane gęstość i skład planetoidy oraz jej niegrawitacyjne przyspieszenia, dokładnie nie da się jej określić), na pokonanie podobnej odległości musiałby mieć niemal 1,5 mld lat. To okres, w którym cywilizacja może powstać, rozwinąć się i zginąć, jeżeli nie uda się jej przekroczyć jednego ze stopnia trzystopniowej Skali Kardaszewa.

Zanim zginiemy

Skala Kardaszewa to hipotetyczna klasyfikacja zaawansowania technologicznego cywilizacji, która jako główne kryterium klasyfikacji przyjmuje ilość energii wykorzystywanej przez cywilizację techniczną. Cywilizacja pierwszego stopnia zdolna jest do wykorzystania pełnej energii dostępnej na jej macierzystej planecie. Oznacza to, że ma całkowitą kontrolę nad planetarnymi zasobami i zjawiskami, np. jest w stanie kontrolować pogodę, trzęsienia ziemi, zoptymalizować wykorzystanie energii słonecznej docierającej do planety oraz w pełni wykorzystywać energię termojądrową. To punkt, do którego osiągnięcia ludzkości wciąż jeszcze daleko.

Cywilizacja drugiego stopnia jest zdolna do wykorzystania całej energii emitowanej przez jej gwiazdę centralną. Najbardziej znanym sposobem na osiągnięcie tego poziomu jest budowa Sfery Dysona, czyli hipotetycznej megastruktury całkowicie lub częściowo otaczającej gwiazdę, która pozwala na przechwytywanie niemal 100 proc. jej promieniowania. Dopiero taka cywilizacja jest zdolna do podróży międzygwiezdnych.

Cywilizacja trzeciego typu zdolna jest do wykorzystania całej energii dostępnej w swojej galaktyce, czyli kontroluje energię miliardów gwiazd, być może wykorzystuje również energię gwiazd neutronowych i czarnych dziur.

Ślady po cywilizacji

Twórca skali Mikołaj Kardaszew zauważał, że osiągnięcie każdego

eprasa.pl d791689b9e

z etapów związane jest z zagrożeniem samounicestwienia cywilizacji w związku z dostępem do energii, której nie nauczyła się w pełni kontrolować. Jako przykład podaje energię nuklearną w rękach człowieka – to z naszej obecnej perspektywy źródło nieograniczonej (licząc obecne potrzeby naszej cywilizacji) energii, które w każdej chwili może doprowadzić do zniszczenia ludzkości.

Opisywana przez Loeba asteroida musiałaby pochodzić od cywilizacji przełomu pierwszego i drugiego etapu, czyli znacznie starszej od naszej. Cywilizacji, której – jak zauważa harvardzki astronom – najprawdopodobniej już dawno nie ma.

Zanim Avi Loeb ogłosił swoją teorię, obserwacje astronomiczne pozasłonecznej asteroidy pokazały, że analiza trajektorii obiektu wskazywała na statystycznie istotne niegrawitacyjne przyspieszenie. Tak znaczne przyspieszenie nie może być wyjaśnione przez ciśnienie promieniowania ani przez hipotetyczny podwójny (również kometarny) charakter obiektu. Obserwowana trajektoria była również niezgodna z jednorazowym, impulsowym przyspieszeniem, sugeruje natomiast ciągłe przyspieszenie obiektu. Najlepszym wyjaśnieniem obserwacji byłoby ciągłe, anizotropowe wyrzucanie gazu lub pyłu z komety, jednakże takiego wyrzutu materii nie zaobserwowano – po odważnym wystąpieniu Loeba astronomowie zgodzili się, że nie można wykluczyć istnienia na asteroidzie sztucznego napędu ani również tego, że sama asteroida jest po prostu sztucznie zbudowanym obiektem mającym badać inne układy planetarne. Niestety prędkość asteroidy nie pozwoliła nam na zbadanie jej.

Kolejni goście z obcych światów

Inaczej ma być z kolejnym pozasłonecznym gościem naszego układu. Chodzi o odkrytą dwa lata po ogłoszeniu teorii Loeba kometę 2I/Borisov, która przelatuje przez Układ Słoneczny, a którą zbadać mają sondy naukowe znajdujące się w kosmosie. Ludzkość chce zbadać także kolejnego gościa – odkrytą w tym roku kometę 3I/ATLAS, która porusza się przez nasz układ z bardzo dużą prędkością.

Kometa międzygwiezdna 3I/ATLAS przelatuje właśnie przez środek Układu Słonecznego. W czwartek, 30 października, maksymalnie zbliżyła się do Słońca, a już na początku grudnia ma stać się widoczna dla obserwatorów na Ziemi. Nowe badanie wykazało, że przybysz z kosmosu uwalnia rekordowe ilości pyłu – docelowo nawet 405 kg na sekundę, czyli znacznie więcej niż 2I/Borisov. Naukowcy uważają, że tak aktywny ten obiekt nie był przez ostatnie miliony lat. Sondy amerykańskiej agencji kosmicznej NASA i europejskiej ESA mają szansę przeciąć trajektorię komety na przełomie października i listopada. Dotychczasowe obserwacje pokazały, że przez ostatnie miliony lat 3I/ATLAS był obiektem uśpionym, budząc się dopiero podczas mijania wewnętrznych planet Układu Słonecznego. Czy świadczy to o tym, że Atlas rozpoczął badania planet skalistych blisko Słońca? Być może – może się jednak okazać, że jest to zwykła, choć pozasłoneczna, kometa, która budzi się po raz pierwszy w związku z przelotem koło nowej gwiazdy.

NOWE BADANIE WYKAZAŁO, ŻE PRZYBYSZ Z KOSMOSU UWALNIA REKORDOWE ILOŚCI PYŁU – DOCELOWO NAWET 405 KG NA SEKUNDĘ.

Avi Loeb jest przekonany, że odkrycie i zbadanie artefaktu innej cywilizacji, który jeszcze niedawno bralibyśmy za pozasłoneczną asteroidę, jest kwestią coraz bliższego czasu.

– Sama ludzkość wysłała w przestrzeń międzygwiezdną cztery sondy kosmiczne, dwie sondy Voyager i dwie Pioneer, na których znajdowały się listy do innych cywilizacji, gdyby natknęły się na nie w przyszłości – zauważa.

My też wysyłaliśmy statki

Te listy to jedna z najbardziej znanych grafik – kontury dwóch nagich postaci mężczyzny i kobiety z uniesioną w przyjacielskim pozdrowieniu dłonią stoją na tle sondy Voyager. Poniżej są narysowane wszystkie planety w Układzie Słonecznym, strzałka z ikoną sondy wskazuje zaś na trzecią planetę od gwiazdy, która również – choć matematycznie – jest opisana jako gwiazda tzw. ciągu głównego. Wyżej znajdują się przerywane linie zbiegające się w jednym punkcie – owe linie z przerwami symbolizują pulsary w naszej galaktyce, gwiazdy neutronowe, które wysyłają impulsy radiowe o określonej i nigdy nie zmieniającej się częstotliwości. Odległość środkowego punktu, którym jest nasze Słońce, od pulsarów pozwoli naszym ewentualnym kosmicznym braciom na ustalenie, z którego dokładnie układu planetarnego pochodzi sonda wraz z listem. Lecąc z obecną prędkością – a jest to trudne do wyobrażenia 15,5 tys. kilometrów na sekundę – do najbliższej gwiazdy z systemem planetarnym dotrze za ponad ćwierć miliona lat. Ludzkości może już wówczas dawno nie być, a sama sonda Voyager stanie się wyłącznie archeologiczną ciekawostką, dowodem, że kiedyś istnieliśmy.

eprasa.pl d791689b9e

KARUZELA BLOGERAMI

GRZEGORZ „GRZECHG" GOŁĘBIEWSKI

TOTALNE STARCIE TUSKA

Donald Tusk szykuje się do decydującego starcia o utrzymanie władzy w Polsce i by to w ogóle stało się możliwe, przyjął strategię wojny totalnej, w której zarówno PiS, jak i jego wyborcy to śmiertelni wrogowie. Jego wystąpienie na „zjednoczeniowej" konwencji Koalicji Obywatelskiej w zasadzie przeszło bez echa, bo jak zwykle wyznawcy Tuska byli nim po prostu zachwyceni, a media konserwatywne słusznie nie kryły oburzenia w reakcji na festiwal kłamstw i manipulacji, który zademonstrował lider obozu władzy. A tymczasem nakreślił on bardzo jasny plan nowej odsłony wojny z Prawem i Sprawiedliwością, z kluczowym podziałem społeczeństwa na dobrych i złych obywateli, a nie tylko samych polityków. Niby nic nowego, bo kiedy tylko Tusk wrócił do Polski, mówił przecież, że PiS to zło i nie dopuszczał tu nawet żadnego niuansowania wokół partii Jarosława Kaczyńskiego. Teraz jednak ów podział – na Dobro i Zło – nabrał wręcz postać fundamentu, na którym szef rządu chce zbudować zwycięską kampanię wyborczą w 2027 roku. Z jednej bowiem strony mamy armię wolnych Polaków, czyli wyborców Tuska, z drugiej co najmniej zagubionych wyborców Prawa i Sprawiedliwości, jeśli nie po prostu zniewolonych. No i oczywiście dochodzi jeszcze sprawa zwrotu PiS na wschód i ustawienie medialne tej partii w roli cichego czy wręcz otwartego sojusznika Putina. Nie ma znaczenia, że to aberracja i absurd, bo wiadomo, jacy są wyborcy Tuska.

Nie ma znaczenia, że w polityce Kaczyńskiego obrona suwerenności Polski nie określa tym samym jakiegoś antyniemieckiego kursu, silni razem biorą to w ciemno i przekonają innych. Lider Koalicji Obywatelskiej – i to jest coś nowego – wskazuje swojemu elektoratowi i całej Polsce, że chodzi tu o starcie obozu zachodniego z obozem prorosyjskim – od PiS po Koronę Brauna. Że oto już za dwa lata „ludzie wolni", czyli wyborcy Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, być może jeszcze jakiegoś strzępu PSL-u i Polski 2050, staną naprzeciw zbrojnych hufców Kaczyńskiego – ludzi zniewolonych, ksenofobów, antysemitów, zacofanych i zbędnych w nowej, już całkowicie i totalnie europejskiej Polsce, a w zasadzie to już takiej nie-Polsce. Rozpłyniętej i rozmarzonej, wbudowanej w architekturę jakże wolnościowego, totalitarnego liberalizmu.

Trzeba dziś o tym głośno mówić: elektoratowi Tuska są głęboko obojętne polskie fundamenty naszej państwowości, jakieś takie nasze swojskie klimaty czy realny wpływ na decyzje podejmowane w Europie. Wystarczy hasło „złotej dekady", a patriotyzm w wymiarze posprzątania po psie jest wystarczającym dowodem głębokiego rozumienia tego pojęcia. Krok po kroku – jeśli Tusk wygra te wybory – przekona nie tylko swoich wyborców, że takiej suwerenności, o jakiej mówi Kaczyński, w Unii Europejskiej już dawno nie ma. A dyktat Berlina czy Brukseli to po prostu nic innego jak w pełni partnerska, sojusznicza współpraca. Urabianie Polaków trwa już ponad trzy dekady i mimo chwilowych zrywów tych oznak tkwiącego w nas genu wolności niemiecki walec pcha się do przodu, zagarnia coraz więcej Europy dla siebie. Jeśli ktoś sądzi, że jest inaczej, niech porówna status Francji dziś i 20 lat temu, nie wspominając już o wypchnięciu z Unii Europejskiej Wielkiej Brytanii. Tusk – jeśli pokona PiS – postawi sprawę jasno: albo zniewoleni karnie dołączą do uśmiechniętych, albo won do roboty. Zupełnie nie wiadomo, dlaczego część polityków prawicy uważa, że na drodze do niemieckiej hegemonii stanie Ameryka Donalda Trumpa. Że obroni nas przed zakusami Berlina. Siła jest (lub jej już nie ma) tylko w nas, w nas samych, tych naprawdę wolnych, w odróżnieniu od tych uśmiechniętych. Jeśli nawet Tusk przegra, miną zapewne dwie dekady, zanim przestaniemy odczuwać skutki politycznego grillowania Polaków przez uśmiechnięte i jak najbardziej „wolnościowe" elity liberalnego Zachodu.

eprasa.pl d791689b9e

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

45. ROCZNICA protestu głodowego kolejarzy

Fot. Janusz Wolniak

Protest głodowy w świetlicy Lokomotywowni Wrocław Główny od 21 do 27 października 1980 roku prowadziły 34 osoby. Kolejarze domagali się podwyżek płac, poprawy warunków pracy na kolei i rejestracji przez sąd NSZZ „Solidarność”. Głodówka trwająca 141 godzin stała się aktem założycielskim Solidarności w Polskich Kolejach Państwowych, gdzie pracowało wówczas blisko 400 tysięcy pracowników.

45. rocznicę tamtych wydarzeń Solidarność na czele z Bartłomiejem Mickiewiczem, Kazimierzem Kimso i Zdzisławem Jasińskim uczciła we Wrocławiu 26 października wraz z uczestnikami historycznej głodówki: Aleksandrem Janiszewskim, Henrykiem Jarząbkiem, Wojciechem Karkucińskim, Janem Nieslerem, Adamem Osiką, Mieczysławem Rzepeckim i Ewarystem Waligórskim.

Uroczystości rozpoczęła Msza Święta w kaplicy kolejowej, którą odprawił bp Jacek Kiciński wraz z ks. Janem Kleszczem, kapelanem kolejarzy, oraz ks. Krzysztofem Hajdunem, kapelanem dolnośląskiej Solidarności. Wierni modlili się w obecności obrazu Matki Bożej Robotników Solidarności, który rozpoczyna peregrynację po Dolnym Śląsku.

– Strajkujący kolejarze byli pielgrzymami nadziei i świadkami prawdy. Ich protest poruszył cały naród. Choć trwał zaledwie kilka dni, stał się iskrą, która zapaliła ogień przemian. Dzięki ich odwadze i determinacji rozpoczął się proces, który doprowadził Polskę do wolności – mówił bp Kiciński.

Po Eucharystii obchody przeniosły się pod pomnik patronki kolejarzy św. Katarzyny Aleksandryjskiej przy Dworcu Głównym we Wrocławiu. Tam odczytano list od prezydenta RP, a także słowa skierowane do kolejarzy przez Piotra Dudę. Przewodniczący Solidarności nawiązał w nim do aktualnej sytuacji w branży, wskazując na zwolnienia grupowe i chaos w zarządzaniu. „Nie ma naszej zgody na niszczenie polskiej kolei, na redukowanie miejsc pracy i marginalizowanie całych regionów, których rozwój od zawsze był związany z transportem kolejowym” – napisał Piotr Duda w liście odczytanym przez jego zastępcę Bartłomieja Mickiewicza.

W trakcie uroczystości zasłużeni działacze otrzymali medale 45 lat NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl d791689b9e

Fot. M. Żegliński

„Andrzej Duda był pierwszym prezydentem, który pojawiał się na każdym zjeździe Solidarności. Ludzie to widzieli i doceniali. Nigdy nie traktował nas z góry, tylko jak partnerów ”.

Piotr Duda, szef „S”, Kanał Zero, 29 października br.

„S” UPAMIĘTNIŁA RODZINĘ POPIEŁUSZKÓW

Błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko urodził się we wsi Okopy w województwie podlaskim. Został ochrzczony w pobliskiej Suchowoli, tam też ukończył szkołę podstawową i liceum. W tamtejszym kościele służył jako ministrant. Po maturze przeniósł się do stolicy, gdzie wstąpił do Metropolitalnego Seminarium Duchownego pw. św. Jana Chrzciciela w Warszawie.

Z tego powodu Region Podlaski NSZZ „Solidarność” wraz z burmistrzem Suchowoli i proboszczem parafii pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Suchowoli księdzem Tomaszem Małyszką upamiętnili 41. rocznicę męczeńskiej śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki, a także zmarłych rodziców błogosławionego męczennika – śp. Mariannę i Władysława Popiełuszków w ich rodzinnych stronach.

Przed pomnikiem bł. ks. Popiełuszki w Suchowoli zgromadzili się zarówno członkowie Solidarności, jak i parlamentarzyści, przedstawiciele władz lokalnych oraz ponad 30 pocztów sztandarowych. Delegacje złożyły kwiaty pod monumentem upamiętniającym ks. Jerzego, a także na grobach jego rodziców.

Uroczystą Mszę Świętą odprawił w świątyni biskup pomocniczy archidiecezji białostockiej Henryk Ciereszko.

– Nam, ludziom Solidarności, nie wolno zapominać o wielkim heroizmie, którym wykazał się bł. ks. Jerzy Popiełuszko. To wielka postać, o której pamięć nigdy nie zginie. Zawsze będziemy go wspominać i o nim pamiętać, tak jak o jego rodzicach. Bł. ks. Popiełuszko to patron NSZZ „Solidarność” i dla nas zawsze będzie kimś najważniejszym i najbliższym – mówił Józef Mozolewski, przewodniczący Zarządu Regionu Podlaskiego NSZZ „S”, cytowany przez Radio Białystok.

W obchodach w Suchowoli wzięli udział m.in. przewodniczący podlaskiej Solidarności Józef Mozolewski, szef rzeszowskiej Solidarności Roman Jakim, przewodniczący płockiej „S” Andrzej Burnat, szef podbeskidzkiej „S” Marek Bogusz, wiceprzewodniczący Regionu Warmińsko-Mazurskiego Krzysztof Krzyżaniak, sekretarz Regionu Mazowsze Maciej Mechliński, a także były wiceprzewodniczący Solidarności Tadeusz Majchrowicz.

Obchody zakończyły się koncertem zespołu Muzyczna Odyseja oraz poczęstunkiem w miejscowej szkole podstawowej.

SZTAB PROTESTACYJNY „S”

Konwent Przewodniczących Regionów i Branż NSZZ „Solidarność” powołał 28 października sztab protestacyjny. Ma on zdecydować o tym, w jaki sposób Związek wyrazi swój sprzeciw i niezadowolenie z obecnego poziomu dialogu społecznego oraz sytuacji w poszczególnych branżach.

Ostatnie kilkanaście miesięcy przyniosło idące w tysiące zwolnienia grupowe w PKP Cargo, redukcję zatrudnienia w Poczcie Polskiej, wypowiedzenie Zakładowego Układu Zbiorowego Pracy w Enea S.A., a także narastające niepokoje w branży górniczej i hutniczej, która zmaga się z wysokimi kosztami energii będącymi konsekwencją polityki klimatycznej UE prowadzonej w ramach strategii nazywanej Zielonym Ładem.

W takiej sytuacji Solidarność nie może pozostać obojętna.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

10.11.1980 – NSZZ „Solidarność” zostaje zarejestrowana przez Sąd Najwyższy (w drodze kompromisu przyjęto oryginalny statut z aneksem zawierającym fragmenty konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz zapis o kierowniczej roli partii);

10.11.1983 – w rocznicę rejestracji „S” przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie odbywają się demonstracje;

7–26.11.2003 – odbywają się zorganizowane przez „S” Ogólnopolskie Dni Protestu Przeciwko Antyspołecznej Polityce Rządu.

eprasa.pl d791689b9e

Antypracowniczy dyrektor szpitala w Przasnyszu

Szpital w Przasnyszu jest nie tylko silnie uzwiązkowiony (do Solidarności należy tam około 200 osób), ale **do niedawna** także stawiany za wzór tego, jak może rozwijać się i prosperować placówka ochrony zdrowia.

Fot. Region Mazowsze NSZZ „Solidarność"

Pikieta Solidarności przed siedzibą Starostwa Powiatowego w Przasnyszu

Agnieszka Żurek

W ostatnim czasie niestety sporo się zmieniło. Szpital wykazuje zadłużenie, a dyrekcja proponuje jeden środek zaradczy – obniżenie pensji pracownikom. Ale nie wszystkim – jedynie tym najmniej zarabiającym!

Nietrudno zgadnąć, że na cel została wzięta jedyna siła zdolna przeciwstawić się tym działaniom, czyli związki zawodowe – ze szczególnym uwzględnieniem Solidarności.

Degradacja modelowej placówki

– To był modelowy szpital, który zawsze pokazywałam z przyjemnością jako przykład świetnie prosperującej placówki – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" Maria Ochman, przewodnicząca Krajowego Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ „Solidarność". – Szpital świetnie sobie radził, zdobywał wartościowe kontrakty, rozwijał się, panowała w nim dobra atmosfera, a co najważniejsze – szanowana była ludzka praca i prowadzony był dialog z zatrudnionymi – wyjaśnia.

Podobną opinią dzieli się ze mną Krystyna Janowska, przewodnicząca Organizacji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność" Mazowsze nr 3311 Szpital w Przasnyszu. – Solidarność założyliśmy dwanaście lat temu i od tamtego czasu organizacja świetnie się u nas rozwinęła. Bardzo dobrze współpracowało nam się z poprzednimi dyrektorami placówki, zawsze otwartymi na dialog społeczny i chętnymi do rozmowy na temat spraw pracowniczych – opowiada.

Niestety, w opinii pracowników szpitala, sytuacja drastycznie zmieniła się wraz z objęciem zarządzania szpitalem przez nowego dyrektora Zbigniewa Makowskiego, emerytowanego oficera Straży Granicznej. Szpital nie tylko popadł w długi, ale także znacząco pogorszyła się atmosfera pracy wśród personelu. – Dziewczyny są po prostu zastraszone, obawiają się utraty pracy, boją się odezwać – mówi w rozmowie ze mną szefowa tamtejszej Solidarności. – To ogromnie niesprawiedliwe, utraty zatrudnienia obawiają się wspaniałe pielęgniarki, chwalone i doceniane przez pacjentów, oddane sercem swojej pracy – dodaje.

Ona sama została przez dyrektora placówki pozbawiona możliwości wykonywania pracy jako osoba oddelegowana do wykonywania zadań na rzecz związku zawodowego. Powód? Raczej pretekst: nieprzedstawienie na czas liczebności członków Solidarności w zakładzie. Decyzja ta jest przez związkowców jednoznacznie oceniana jako szukanie haka na niewygodną przewodniczącą. Czym „podpadła" Krysty-

eprasa.pl d791689b9e

na Janowska? Tym, czym zazwyczaj „podpada” Solidarność – wstawieniem się za pracownikami i domaganiem się respektowania ich praw. Poszło o obniżki wynagrodzeń, o których zdecydował dyrektor w poszukiwaniu oszczędności (sam otrzymując z kolei podwyżkę w wysokości 8 tys. zł brutto!). Cięcia dotknęły osób i tak najsłabiej wynagradzanych, czyli pielęgniarek, a dyrektor szpitala na pytanie o kwestię podniesienia jego wynagrodzenia odpowiedział rozbrajająco, że to było konieczne, ponieważ... ma dzieci. – Jedyna osoba w Polsce, która ma dzieci! – śmieją się ironicznie w rozmowie ze mną związkowcy.

Obniżki wynagrodzeń dotknęły osób (a jest ich niemało, bo ponad 80), które podczas wykonywania pracy postanowiły podnieść swoje kwalifikacje zawodowe i skończyły studia. Z tego tytułu zostały objęte „widełkami” przewidującymi wyższe wynagrodzenie. Dyrektor szpitala jednak uznał, że posiadanie wyższego wykształcenia nie jest wymagane przy wykonywaniu np. zawodu pielęgniarki czy salowej, a zatem obniżył pracownikom pensje. Zdaniem związkowców, pracownicy zostali de facto „ukarani” za wysiłek poniesiony na rzecz podniesienia kwalifikacji. Podkreślają, że inwestując w dobrej wierze we własny rozwój zawodowy, robili to za swoje pieniądze, kosztem urlopów i czasu dla rodziny. A okazało się to nieopłacalne, co jest dla nich demotywujące.

> ***To był modelowy szpital, który zawsze pokazywałam z przyjemnością jako przykład świetnie prosperującej placówki.***
>
> **MARIA OCHMAN**

Zastraszanie zamiast dialogu

W opinii przewodniczącej Solidarności w szpitalu w Przasnyszu sposób postępowania szefa szpitala wobec pielęgniarek jest bardzo krzywdzący, a dyrektor placówki nie powinien nią dłużej zarządzać. – Prawo nie działa przecież wstecz – argumentuje w rozmowie z nami Krystyna Janowska, odnosząc się do obniżek pensji pielęgniarek, które podniosły swoje kwalifikacje. Część zatrudnionych odeszła z pracy, część podjęła decyzję o wejściu na drogę sądową z pracodawcą. Ten jednak – jak mówią mi związkowcy – zaczął grozić, że może się to skończyć utratą pracy. – Niestety, pan dyrektor już nawet nie rozmawia, ale krzyczy i grozi zwolnieniami dyscyplinarnymi. To nie jest metoda prowadzenia dialogu – stwierdzają. Związkowcy jako źródło problemów finansowych szpitala wskazują na błędy w zarządzaniu i ogromną dysproporcję w wynagrodzeniach – gigantyczne apanaże lekarzy kontraktowych przy jednoczesnym obcinaniu wynagrodzeń pielęgniarkom. Uważają, że sytuację finansową szpitala uzdrowiłby uczciwy program naprawczy.

Nietrudno domyślić się, jaka atmosfera panuje obecnie wśród pracowników szpitala. Jak podkreśla szefowa tamtejszej Solidarności, najgorszy jest w tym wszystkim zupełny brak dialogu. – Pan dyrektor wybrał metodę zastraszania zamiast konstruktywnych rozmów. A my na dialog byliśmy zawsze otwarci i na rzecz szpitala byliśmy gotowi do ustępstw i poświęceń, potrafiliśmy rezygnować z premii, dodatkowych dni urlopowych, z układu zbiorowego pracy... – wylicza Krystyna Janowska. Jak się okazuje, poświęcenie pracowników było daremne. – To smutne, że po tym wszystkim jesteśmy zmuszeni do wejścia na drogę sądową – zaznacza szefowa Związku. – Ale, jak widać, być może nie ma innego wyjścia – dodaje.

Mazowiecka Solidarność pikietowała w sprawie szpitala w Przasnyszu przed tamtejszym starostwem powiatowym, organem władnym w kwestii ewentualnego odwołania dyrektora szpitala. – Nie wszystko da się wytłumaczyć złym zarządzaniem, tylko ktoś akceptuje taki stan rzeczy i dlatego jesteśmy dziś pod Starostwem Powiatowym – mówił wówczas Dariusz Paczuski, przewodniczący NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze.

Pełne wsparcie prawne i merytoryczne pokrzywdzonym pracownicom szpitala w Przasnyszu zapewnił dział prawny Solidarności oraz przewodnicząca Krajowego Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ „Solidarność” Maria Ochman. O dalszym rozwoju sytuacji w szpitalu w Przasnyszu będziemy informować także na łamach „Tygodnika Solidarność”.

Wysłaliśmy do dyrekcji szpitala pytania dotyczące sytuacji w placówce. Wrócimy do sprawy, gdy zostaną one udzielone.

CZĘŚĆ ZATRUDNIONYCH ODESZŁA Z PRACY, CZĘŚĆ PODJĘŁA DECYZJĘ O WEJŚCIU NA DROGĘ SĄDOWĄ Z PRACODAWCĄ.

eprasa.pl d791689b9e

Zatrzymać import ukraińskiej stali

– Bezcłowy import stali z Ukrainy sprawia, że stajemy się niekonkurencyjni na rynku. Ta stal jest zdecydowanie tańsza, ponieważ nie jest obłożona kosztami Zielonego Ładu. To gigantyczny problem dla Huty Częstochowa – mówi **Robert Gonera**, przewodniczący Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność" w Hucie Częstochowa, w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

Fot. arch.

– Mija rok, od kiedy Węglokoks wydzierżawił Hutę Częstochowa i de facto uratował zakład przed likwidacją. Na ile procent mocy produkujecie dzisiaj stal?

– Tutaj trzeba wziąć pod uwagę dwa aspekty, a więc technikę i ludzi. Jeśli chodzi o możliwości techniczne, to produkujemy dziś na około 50 proc. naszych zdolności. Cały czas prowadzimy też rekrutację, bo pod względem osobowym osiągnęliśmy już szczyt. Nowi pracownicy pozwolą nam zwiększyć wolumen produkcji do przynajmniej 80 proc. możliwości technicznych. Do tego dążymy.

– Skoro wróciliście już na hutniczą mapę Polski, to dobrze, żebyście mieli grunt pod nogami i pewnego właściciela, a nie dzierżawcę. Tym bardziej że częstochowska Huta trafiła na listę spółek strategicznych. MON już w marcu oświadczyło, że chce Was wykupić, a sąd podał w lipcu ostateczną cenę 253 mln zł. Minęło kilka miesięcy i cisza. Dlaczego MON jeszcze Was nie wykupiło?

– Ministerstwo Obrony Narodowej, korzystając z możliwości wykupu bez przetargu Huty Częstochowa, musi po raz pierwszy skorzystać w praktyce z artykułu 311 Prawa upadłościowego. Problem polega na tym, że jest to stosunkowo nowy przepis i nikt nigdy go jeszcze nie stosował. To zapis bardzo ogólny, bez szczegółowych wskazań, nie ma w tej materii orzecznictwa i praktyki prawnej. MON tłumaczy się tym, że ten temat trzeba dobrze przepracować prawnie, aby nie zostawić pola do żadnych skarg na przykład do TSUE. Czy jest tutaj jakieś drugie dno? Trudno mi powiedzieć, bo my nie mamy kontaktu z ministerstwem. W chwili przejęcia Huty Częstochowa przez Węglokoks byliśmy bardzo mocno zaangażowani w dialog z poszczególnymi resortami. Teraz jesteśmy obserwatorami i opieramy się na tym, co przekazują nam syndyk i władze Węglokoksu. Z MON-em kontaktu nie mamy. Wiemy tylko, że prawnicy mają pełne ręce roboty, a sprawa powoli posuwa się do przodu. Taki jest oficjalny przekaz, który otrzymujemy.

POLSKI NIE STAĆ NA TO, ABY NIE MIEĆ W NARODOWYM PORTFOLIO HUTY CZĘSTOCHOWA.

– Huta Częstochowa to jedyny zakład w Polsce produkujący hartowane blachy grube dla przemysłu zbrojeniowego. Posiada też jedną z największych w UE hal produkcyjnych, gdzie można remontować sprzęt wojskowy. Ta naturalna symbioza z przemysłem zbrojeniowym mogłaby

eprasa.pl d791689b9e

zapewnić Wam stałe miejsca pracy na lata? Tym bardziej że przeznaczamy teraz rekordowe kwoty na wojsko.

– No właśnie tak do końca nie jest. Na przykład Huta Stalowa Wola ma własną stalownię i nie korzysta z naszej blachy. Generalnie wolumeny zapotrzebowania na stal wojskową do czołgów czy pojazdów opancerzonych to jest promil produkcji, jaką musi wykonać huta, żeby na siebie zarobiła. Dla nas podstawowym rynkiem zbytu jest budownictwo i konstrukcje stalowe. Spoglądamy też na sektor OZE. W tych obszarach mamy pole do pozyskania rynków zbytu i wypełnienia naszych portfeli zamówieniami. Dlatego zależy nam na tym, żeby Węglokoks pozostał naszym właścicielem, bo przemysł zbrojeniowy to tylko ułamek naszej działalności.

Te wszystkie czołgi K2, nieco ponad 60 maszyn, które mają być wyprodukowane w Zakładach Mechanicznych Bumar Łabędy, to jest zaledwie 2 proc. naszej rocznej produkcji. I to pod warunkiem, że dostarczymy całą blachę do tych czołgów, co nie jest przesądzone. Jakbyśmy weszli do Stalowej Woli, Kutna i Siemianowic, gdzie robią Rosomaki, to byśmy to podwoili. Wtedy przeznaczalibyśmy około 4 proc. naszej produkcji stali na tego rodzaju potrzeby wojskowe. Z kolei od 25 do 30 proc. naszej stali moglibyśmy sprzedawać na potrzeby OZE, głównie pod budowę wież wiatrowych. Cała reszta, około 70 proc. stali z Huty Częstochowa, trafia na potrzeby budownictwa oraz w nieznacznym stopniu na pomniejsze projekty cywilne, jak produkcja wielkich zbiorników paliwowych.

Zbrojeniówka ma oczywiście potencjał, bo jesteśmy jedynym producentem blach grubych w kraju, więc jako monopolista możemy na nich dobrze zarobić. Warunek jest jeden: wszystkie maszyny wojskowe muszą powstawać z polskiej blachy, a nie z blachy importowanej z innych krajów. Do tego nie wolno dopuścić. Wszystko na potrzeby wojska powinno powstawać z rodzimej blachy. Jako jeden z niewielu zakładów w Europie, który posiada takie zdolności, możemy także powalczyć o kontrakty na zagranicznych rynkach.

Trzeba jednak nadmienić, że jest jeszcze jeden obszar, który daje nam szansę na dobry zarobek. To jest produkcja blachy na potrzeby amunicji. Nasza blacha świetnie nadaje się na produkcję łusek do artylerii 155 mm. Gdybyśmy weszli w ten obszar, to wtedy około 8–10 proc. naszej rocznej produkcji stali trafiałoby na potrzeby wojska.

BLACHA PRODUKOWANA W HUCIE CZĘSTOCHOWA ŚWIETNIE NADAJE SIĘ NA PRODUKCJĘ ŁUSEK DO ARTYLERII 155 MM.

– A są jakieś kontrakty, o które szczególnie teraz walczycie, albo ustawy, na które czekacie?

– Nam jest potrzebny local content. To znaczy, jeżeli ORLEN buduje farmę wiatrową na Bałtyku to niech nie kupuje duńskiej blachy, która jest wyprodukowana z rosyjskiego slaba [półprodukt stalowy, który przerabia się później na wyrób gotowy, np. blachę – przyp. M.K.] tylko niech kupuje polską blachę z odlanej w Polsce stali. Nie ze slaba importowanego z Indii, Omanu czy – jak to najczęściej dzisiaj się odbywa – z Rosji czy Ukrainy.

– Inaczej mówiąc, potrzebny jest patriotyzm gospodarczy.

– Tak. Jeśli w przetargach zostaną wprowadzone takie obostrzenia, że stal powinna pochodzić z Polski, a nie z importu, to załatwi to nam dużo rynków zbytu i pozwoli dobrze zarabiać.

– Jak Pan wspomniał, w czasach pokoju zbrojeniówka to zaledwie kilka procent waszej rocznej produkcji, ale w czasie wojny znacznie Huty Częstochowa nabiera charakteru strategicznego.

– Jak najbardziej, bo ta blacha jest do wyprodukowania tu i teraz. My w ciągu godziny możemy odpalić piec, wsypać złom, stopy, minerały i następnego dnia mamy stal do walcowania blachy. I nikt nam nie jest w stanie zatrzymać tego procesu. Jesteśmy jako państwo niezależni i nie musimy się obawiać takiej sytuacji, że jest embargo na rosyjską stal albo chiński statek nie wypłynął. Polski nie stać na to, aby nie mieć w narodowym portfolio Huty Częstochowa. Działamy głównie na rynku cywilnym, ale musimy utrzymywać ten zakład, aby w czasie wojny mieć gwarancję, że natychmiast, od ręki, będziemy w stanie wyprodukować sprzęt wojskowy. Ten aspekt zdecydował właśnie, że trafiliśmy na listę spółek strategicznych.

– Branża hutnicza skarży się na bezcłowy import stali z Ukrainy. Ograniczenia w tym zakresie zostały zniesione trzy lata temu po wybuchu wojny. To mocno uderzyło w Hutę Częstochowa?

– To jest gigantyczny problem dla Huty Częstochowa i kluczowy problem, jeśli chodzi o rynek cywilny, a więc nasz dominujący profil produkcji. Bezcłowy import stali

eprasa.pl d791689b9e

z Ukrainy sprawia, że stajemy się niekonkurencyjni na rynku. Ta stal jest zdecydowanie tańsza, ponieważ nie jest obłożona kosztami Zielonego Ładu. W tym momencie jest to największy problem dla branży. Możemy się oczywiście bronić tym patriotyzmem gospodarczym i zmuszać firmy do kupowania polskiej stali, ale zaraz pewnie odezwie się Unia Europejska, że to niedozwolona pomoc państwa i narazimy się na jakieś kary.

– Żelazo i stal to trzecia największa kategoria towarów importowanych do UE z Ukrainy po zbożach i tłuszczach, w tym olejach. Komisja Europejska planuje zmniejszyć o połowę bezcłowe kontyngenty na stal spoza Unii, a gdy import przekroczy 18,3 mln ton, nałożyć 50-procentowe cła. To by Was satysfakcjonowało?

– Każda tego rodzaju propozycja poprawi naszą sytuację, ale czy rozwiąże całkowicie problem, to trudno powiedzieć – rynek wszystko zweryfikuje. Generalnie są trzy główne problemy, z którymi mierzy się polska branża hutnicza i od których zależy opłacalność produkcji stali. Po pierwsze – jest to import stali z Ukrainy, po drugie – ą to wysokie ceny energii elektrycznej, a po trzecie – wypływ złomu za granicę. Europa jest dzisiaj obok Stanów Zjednoczonych jednym z dwóch obszarów, gdzie produkuje się złom. Mamy go bardzo dużo, ale w równie gigantycznych ilościach ten złom wypływa poza Europę do Turcji, Indii i Chin. Złom to podstawowy materiał wsadowy, który stanowi ponad połowę kosztów produkcji stali. Jeśli rynek złomu nie będzie chroniony, to będziemy mieli ogromny problem z opłacalnością produkcji. Im więcej złomu wypłynie z Polski, tym wyższa będzie jego cena i tym droższa będzie stal.

ZŁOM TO PODSTAWOWY MATERIAŁ WSADOWY, KTÓRY STANOWI PONAD POŁOWĘ KOSZTÓW PRODUKCJI STALI. IM WIĘCEJ GO WYPŁYNIE Z POLSKI, TYM DROŻSZA BĘDZIE STAL.

– Na koniec chciałbym zapytać o pewien trend technologiczny, a więc odchodzenie od wielkich pieców opalanych koksem na rzecz pieców elektrycznych. Jak to wygląda w Waszej Hucie?

– Dzisiaj produkcja surowcowa, a więc stal powstająca z mieszanki rudy żelaza i koksu, powstaje w zasadzie już tylko w Dąbrowie Górniczej w hucie ArcelorMittal. To jest wysokoemisyjna produkcja, więc te opłaty za CO_2 są gigantyczne. Wszędzie indziej w Polsce, również u nas, produkuje się już tylko stal w piecach elektrycznych, gdzie przetapia się złom. Takie piece potrzebują ogromnej ilości energii i nie jesteśmy jej w stanie pozyskać tylko z odnawialnych źródeł energii. My – i mówię tu w imieniu całej branży hutniczej – nie damy rady wyżyć z OZE. Musimy mieć porządne, stabilne elektrownie, najlepiej atomowe, i dopiero wtedy możemy opłacalnie produkować stal.

HALLOWEEN MICHALSKI

eprasa.pl d791689b9e

Z „Beczki” do Solidarności
– film o młodych, którzy nie bali się mówić prawdy

W czasach, gdy w Krakowie rozbrzmiewały słowa sprzeciwu i rodziła się odwaga, to m.in. „Beczka” była miejscem, w którym młodzi ludzie nie bali się mówić prawdy. To właśnie tam zrodziła się idea wspólnoty, która przerodziła się w coś większego – w solidarność, w sensie dosłownym i duchowym. Film dokumentalny „Beczka. Bierzemy odpowiedzialność”, który trafił do kin, opowiada o wspólnocie i wierze, która potrafiła przemieniać świat. To historia ludzi, którzy uwierzyli, że odpowiedzialność za innych i prawda mają moc zmiany rzeczywistości.

Wkład środowiska „Beczki” w powstanie Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS) jest nieoceniony. Bezpośrednim impulsem do jego utworzenia była tragiczna śmierć Stanisława Pyjasa, studenta polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. 7 maja 1977 roku jego ciało znaleziono w kamienicy przy ul. Szewskiej w Krakowie. Po pogrzebie 15 maja przyjaciele Pyjasa zorganizowali tzw. Czarny Marsz, podczas którego ogłoszono powstanie SKS. To wtedy po raz pierwszy raz pojawiło się słowo „Solidarność”.

Środowisko skupione wokół o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP odegrało kluczową rolę w tym procesie. To właśnie z „Beczki” wywodzili się młodzi ludzie, którzy z odwagą opowiedzieli się przeciwko systemowi komunistycznemu. Studencki Komitet Solidarności był pierwszym jawnym ruchem opozycyjnym studentów w PRL, który odwoływał się do idei solidarności – rozumianej jako wzajemne wsparcie i sprzeciw wobec przemocy władzy.

Z czasem podobne inicjatywy powstały w innych ośrodkach akademickich — w Warszawie, Wrocławiu i Gdańsku. To właśnie ta duchowa i społeczna solidarność międzyludzka stała się fundamentem dla wielkiego ruchu Solidarności z 1980 roku.

Film powstał z okazji 60-lecia działalności Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka” przy dominikanach w Krakowie. Pokazuje, jak kolejne pokolenia studentów i duszpasterzy tworzyły wspólnotę, w której dojrzewała wiara, odpowiedzialność i zaangażowanie społeczne. Twórcy podkreślają, że nie jest to jedynie zapis historii, lecz żywe świadectwo – opowieść o odwadze, wierze i wspólnocie, które wciąż inspirują. Dzięki archiwalnym materiałom i wspomnieniom uczestników film staje się nie tylko kroniką wydarzeń, ale także głosem o potrzebie odpowiedzialności w życiu Kościoła i społeczeństwa.

WKŁAD ŚRODOWISKA „BECZKI” W POWSTANIE STUDENCKIEGO KOMITETU SOLIDARNOŚCI JEST NIEOCENIONY.

Na ekranie pojawiają się zarówno znane postaci – o. Jan Andrzej Kłoczowski OP, o. Joachim Badeni OP, św. Jan Paweł II – jak i mniej znane osoby, które przez 60 lat tworzyły historię „Beczki”.

Film można obejrzeć w wybranych kinach w całej Polsce. Istnieje możliwość organizacji pokazów grupowych – szczegóły znajdują się na stronie: www.rafaelfilm.pl/beczka.

MG

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl d791689b9e

PRAWO

Przypadkowe zniszczenie towaru w sklepie – CZY MUSZĘ ZAPŁACIĆ?

Zakupy w sklepie to dla większości z nas codzienna czynność, która zwykle przebiega spokojnie i rutynowo. Czasami jednak wystarczy chwila nieuwagi, by doszło do uszkodzenia towaru. Tak było w moim przypadku. Niedawno podczas zakupów w sklepie spożywczym **jedna z butelek wypadła mi z rąk** i rozbiła się na podłodze. Zanim zdążyłem się zorientować, przy kasie pojawił się sprzedawca, który oświadczył, że muszę zapłacić za zniszczony produkt. Nie chodziło o samą wartość butelki, lecz o zasadę, czy rzeczywiście klient ma obowiązek pokrywać takie szkody? Jak wygląda to z punktu widzenia prawa?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Przede wszystkim warto wskazać, że prawo odróżnia zwykły wypadek od celowego działania. Jeśli towar został uszkodzony przez przypadek, a nie z winy umyślnego działania, przepisy prawa cywilnego nie nakładają automatycznego obowiązku zapłaty. W praktyce jednak sklepy często proszą klienta o pokrycie szkody lub proponują „dobre rozwiązanie" w miejscu zdarzenia. Polskie prawo opiera się na zasadzie odpowiedzialności deliktowej. Oznacza to, że osoba odpowiada tylko wtedy, gdy działała z winą, czyli przez zaniedbanie lub umyślnie. W typowym sklepie obowiązuje tak zwana zasada nadzoru, to sprzedawca powinien dbać, aby towary były ustawione w sposób bezpieczny, a podłogi powinny być wolne od przeszkód. Jeśli towar spadł, bo był źle ułożony lub podłoże było śliskie, odpowiedzialność często spada na sklep. Sytuacja wygląda inaczej, gdy klient nie zachowa podstawowej ostrożności. Przykładowo, jeśli biegając po sklepie, przewrócisz stojak z produktami albo wchodzisz między regały z zakupami w sposób nieostrożny, sklep może zażądać pokrycia szkody. Wówczas w grę wchodzi zasada proporcjonalności, wartość zniszczonego towaru zostaje ustalona i klient może zostać poproszony o zapłatę. Ważnym elementem jest też udokumentowanie zdarzenia, czyli jak zawsze, gdy chcemy przekonać kogoś do swojej racji, potrzebne są dowody. Jeśli jesteś świadkiem wypadku lub sam go spowodowałeś, dobrze jest zapisać okoliczności, czyli co się stało, czy w pobliżu byli pracownicy sklepu, czy na podłodze były oznaczenia ostrzegawcze. Takie informacje mogą być pomocne w razie sporu. Często zdarza się, że sklepy posiadają własne procedury, np. spisanie protokołu zdarzenia czy podpisanie oświadczenia przez klienta. Warto pamiętać, że podpisanie protokołu nie jest automatycznym przyznaniem się do winy, można w nim zaznaczyć, że zdarzenie miało charakter przypadkowy.

TO SPRZEDAWCA POWINIEN DBAĆ, ABY TOWARY BYŁY USTAWIONE W SPOSÓB BEZPIECZNY.

Podsumowując, przypadkowe zniszczenie towaru w sklepie nie oznacza automatycznej odpowiedzialności finansowej klienta. Kluczowe są okoliczności zdarzenia, czy doszło do zaniedbania, czy był to czysty przypadek, oraz czy sklep miał wpływ na bezpieczeństwo towaru. Zawsze warto zachować spokój, zgłosić zdarzenie pracownikowi i współpracować przy ustalaniu faktów. Świadome podejście może uchronić przed niepotrzebnymi kosztami, a przy okazji pokazać kulturę osobistą w trudnej sytuacji, niezależnie od tego, jak zachowa się druga strona.

eprasa.pl d791689b9e

CECHY STOSUNKU PRACY (cz. 1)

Podstawowym pojęciem i konstrukcją w prawie pracy jest stosunek pracy. Wielokrotnie na łamach „Tygodnika Solidarność" była mowa o tym, że stosunek pracy to więź prawna między pracownikiem a pracodawcą, która określa ich wzajemne prawa i obowiązki. Warto jednak zauważyć, że stosunek pracy nie jest jedyną formą, w jakiej może być wykonywana praca, rozumiana jako podejmowanie określonych czynności dla osiągnięcia założonego celu.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Można wskazać, że tak rozumiana praca może być wykonywana w ramach prawa cywilnego (np. umowy-zlecenia lub umowy o dzieło), prawa administracyjnego (stosunek służbowy funkcjonariuszy), a nawet prawa karnego (np. kara pracy na cele społeczne).

Skoro podobne zjawisko faktyczne (praca rozumiana czynnościowo) regulowane jest przez różne gałęzie prawa, i do tego regulacja ta jest bardzo zróżnicowana (w zakresie wzajemnych praw i obowiązków zatrudniającego i zatrudnianego), to muszą występować różnice formalne pomiędzy poszczególnymi podstawami świadczenia pracy, które powodują, że dana osoba będzie kwalifikowana np. jako pracownik, a nie jako zleceniobiorca.

Innymi słowy, każda z podstaw zatrudnienia ma swoje cechy charakterystyczne. Z perspektywy pracowników najważniejsze jest oczywiście to, jakie okoliczności charakteryzują stosunek pracy (dotyczy to także osób zatrudnionych formalnie na umowach cywilnych lub pozostających w samozatrudnieniu, gdyż może okazać się, że zgodnie z prawem powinny mieć umowę o pracę).

Doniosłe znacznie ma w tym kontekście regulacja przyjęta w art. 22 § 1^1 Kodeksu pracy, w myśl którego zatrudnienie w warunkach spełniających warunki stosunku pracy jest zatrudnieniem na podstawie właśnie stosunku pracy, bez względu na nazwę zawartej przez strony umowy. Wynika z niego, że o tym, czy dana osoba jest pracownikiem, czy też nim nie jest, nie decyduje nazwa podpisanej umowy, lecz to, w jaki sposób praca jest świadczona. Co więcej, kluczowe znacznie ma w tym kontekście nie treść umowy, a sposób jej faktycznej realizacji (zatem nawet wówczas, gdy w swoich postanowieniach umowa jest wręcz wzorcową umową-zleceniem, ale w praktyce jej wykonywanie polega na pracy jak pracownik, to w rzeczywistości mamy do czynienia z umową o pracę).

ZATRUDNIENIE W WARUNKACH SPEŁNIAJĄCYCH WARUNKI STOSUNKU PRACY JEST ZATRUDNIENIEM NA PODSTAWIE STOSUNKU PRACY, BEZ WZGLĘDU NA NAZWĘ ZAWARTEJ PRZEZ STRONY UMOWY.

Przechodząc zatem do wskazania, co charakteryzuje stosunek pracy, a tym samym w jakich okolicznościach może okazać się, że mamy do czynienia z zatrudnieniem pracowniczym, należy wskazać następujące okoliczności: dobrowolność, podporządkowanie, odpłatność, osobiste świadczenie pracy, skooperowanie, ponoszenie ryzyka przez pracodawcę, zobowiązanie do starannego działania, a nie osiągnięcia rezultatu.

Dobrowolność odnosi się do faktu, że nawiązanie stosunku pracy wymaga złożenia dobrowolnego oświadczenia woli przez obie strony. Oznacza to, że co do zasady nikt (ani pracownik, ani pracodawca) nie może zostać prawnie zmuszony do podpisania umowy o pracę. Oczywiście od tej reguły są przewidziane wyjątki, które głównie dotyczą pracodawcy (np. orzeczenie sądu o obowiązku ponownego zatrudnienia pracownika, którego zwolnienie odbyło się z naruszeniem prawa), ale wskazać można także sytuację, w której to pracownik ma obowiązek podjąć pracę (pracownicy podmiotów leczniczych, osoby wykonujące zawody medyczne oraz osoby, z którymi podpisano umowy na wykonywanie świadczeń zdrowotnych, mogą być skierowani do pracy przy zwalczaniu epidemii, na podstawie decyzji wojewody lub ministra zdrowia, która stwarza obowiązek pracy przez okres do 3 miesięcy w podmiocie leczniczym lub w innej jednostce organizacyjnej wskazanych w niej).

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl d791689b9e

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Andrzej Gajcy (Żurek....., s. 30), jeden z najbardziej znanych polskich dziennikarzy śledczych. W przeszłości związany z „Rzeczpospolitą" oraz Onetem. Od 2025 roku pisze dla nas. Jego najnowsza książka (napisana razem z Wojciechem Muchą) to „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać".

Jarosław Jakubowski (Literackie..., s. 56), poeta, prozaik, dramatopisarz, krytyk literacki, dziennikarz. Autor tomów wierszy, powieści i zbiorów opowiadań oraz sztuk teatralnych. W 2023 r. otrzymał Nagrodę Mediów Publicznych w kategorii „Idea", a także Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

Jakub Pacan (Cień..., s. 14), dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach.

Łukasz Sakowski (Obowiązek..., s. 34), założyciel portalu naukowego To Tylko Teoria, twórca popularnego plebiscytu internetowego Biologiczna Bzdura Roku, w której wyróżniane są najbardziej antynaukowe stwierdzenia w przestrzeni publicznej (nagroda przyznawana jest od 2016 roku).

Igor Zalewski (Strefa..., s. 38), w „TySolu" gospodarz autorskiej kolumny „Strefa Kontaktu". W przeszłości m.in. współtwórca legendarnej rubryki „Z życia koalicji, z życia opozycji" będącej prekursorką podobnych formatów w wielu polskich mediach. Założyciel Akademii Retoryki Igora Zalewskiego.

Agnieszka Żurek (Antypracowniczy..., s. 66), z „Tygodnikiem Solidarność" związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni" o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany" w jednej z instytucji państwowych.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl d791689b9e

REPUBLIKA

Przegląd najistotniejszych tematów i wydarzeń politycznych z autorskim komentarzem
Rafała Ziemkiewicza

polityczne
podsumowanie
tygodnia
PIĄTEK
17:30
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d791689b9e

NAJNOWSZY

raport NSZZ „Solidarność”

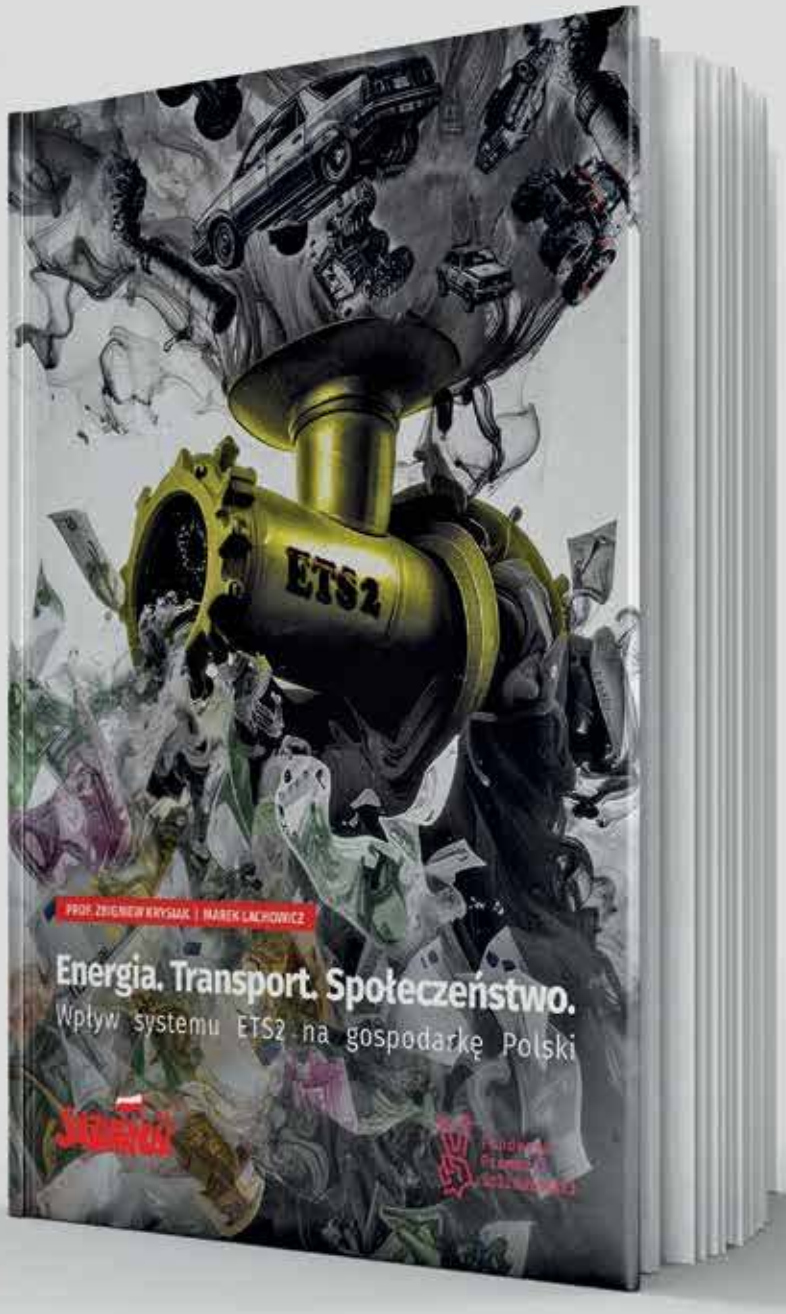

Do kupienia na:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl d791689b9e